

OGNIWO

TYGODNIK NAUKOWY, SPOŁECZNY, LITERACKI I POLITYCZNY.

Wychodzi w sobotę.

TREŚĆ

DZIAŁ NAUKOWY.

Teodor Mommsen I p. *S. Posnera*.

William Edward Hartpole Lecky p. *Sygmę*.

Typy okrutne i krwiożercze II p. *L. Krzywickiego*.

Notatki naukowe.

DZIAŁ LITERACKI.

Książka o małym braciszku, powieść *Gustaf af Geijerstam'a* przekład z oryginału szwedzkiego *Malwiny Garfeinowej* cz. III, IV—V.

Tomasz Sitok V—VI p. *F. Brodowskiego*.

Ziarna i plewy p. *J. Dąbrowskiego*.

Notatki literackie.

FELJETON.

Nad świeżą mogiłą p. *L. K.*

Poważna sprawa (dok.) p. *S. Wertenstei-nowa*.

Odgłosy: Z nad Szprewy.—Nożownictwo.

Towarzystwo «Polska sztuka stosowana» w Krakowie p. *Musz*.

O odszkodowaniu robotników według nowej ustawy I p. *L. L.*

„Przedsiębiorstwo gazeciarskie“ p. *W. Szukiewicz*.

PRZEGLĄD PRASY.

KORESPONDENCJE.

Listy z Galicji p. —*ski*.

Petersburg.—Grajewo.—Kraków.

KRONIKA I. Polityczna.

„ II. Społeczna.

Oliary.

Książki nadesłane do redakcji.

OGŁOSZENIA.

Od Administracji.

Czytelników „Ogniwa“, którzy by odstąpić nam zechcieli № 1, 2, 21, 41, 42 i 43 po cenie 20 kop. za egzemplarz, uprzejmie o to prosimy.

Teodor Mommsen.

1817—1903.

«Fantazja—matka wszelkiej poezji a więc i historii...»

(w nagłówku V tomu *Dziół Rzymskich*).

I.

1 listopada zmarł w sędziwym wieku, po krótkiej fatalnej walce ze śmiercią, w historycznej willi charlottenburskiej, wśród pergaminów i szaf bibliotecznych, wśród żalu całej wszechświatowej republiki uczonych—kolos nauki niemieckiej, Teodor Mommsen.

Kiedy wymawiamy to nazwisko, budzić się zaczyna w nas i wokół nas świat cały zamierzchłych stosunków, świat minionej walki, który on magiczną swą różdżką nanowemu powołał do życia, świat odrębnego ideału, świat, który z drobnej kolonii rozbójniczej rozrósł się i wyolbrzymiał do potęgi niebywałej: orzeł rzymski odwiedzał północne brzegi Atlantyku, przeglądał się w lustrzanej fali Nilu, rozrywał na strzępy ziemię judejską. Gdzie jest Mommsen, tam jest i Rzym. Rzym odbudowany ręką historyka, Rzym rzeczywistości nie legend. Nikt tak nie rozumiał Romy, nikt jej tak nie kochał, surową miłością nie kochanka, jeno Cen-zora. On, jak podotąd, był Rzymu ostatnim cenzorem. Cóż dalej?

Gdy mówimy „Mommsen“—spływana nas jakgdyby niewypowiedziany czar Italji, jej przepych i jej melancholja, czujemy się mali, znikomi przed tym spiżowym majestatem, jednocześnie tęskniąc za jej ruinami. Cóż więcej?

Gdy mówimy „Mommsen“, otwierają się przed nami amfiteatry audytorjów uniwersyteckich, gdzie ty-siące uczniów, śladami mistrza krocząc, odczytuje napisy, porównywa, bada, z mozaiki prawd czy hipotez

budując fragmenty wielkiej, jedynej Prawdy historycznej. A dalej?

Gdy mówimy „Mommsen“, otwierają się przed nami szafy bibliotek, gdzie tysiąc z okładem tytułów odczytać nam przychodzi, ty-siąc z okładem dzieł, które w ciągu lat sześćdziesięciu świadczyły przed światem o pracy, o troskach, o tęsknocie ich twórcy. Nie koniec jeszcze?

Gdy mówimy „Mommsen“—spływają na nas wspomnienia: wydane-go w 1839 r. zbioru poezji, poematu „do światła“ (1848), wydawanej w Rendsburgu w tymże, pełnym wiosennych zapachów, roku „Gazety Szlezwicko-Holsztyńskiej“, awantury „majowe“ za czasów profesury w Lipsku (1851 razem z filologami Jahnem i Hauptem), dysmisja, walka z reakcją pruską i z Bismarckiem, przezwanie polityki tegoż (1881) polityką matactw (Schwindelpolitik), proces z tego powodu zakończony zwycięstwem, walka z Treitschkem-antisemitą (1880), walka o szkołę elementarną (z powodu zamachu na nią Zedlitza), walka przeciw Lex-Heinze. Nie koniec jeszcze.

Budzi się wspomnienie grzechu. Owo słynne rozbijanie czasek czeskich w epoce rządów Badeniego w Austrii, owa odezwa do Włochów w obronie wojny z Francją (1870), odezwa, za którą wymazano jego imię z listy członków Akademji francuskiej. A jednocześnie budzi się wspomnienie polemiki w Max-Müllerem z powodu najazdu angielskiego na Transwaal, wreszcie na kilka tygodni przed śmiercią ogłoszony na łamach „Independent Review“ protest przeciwko jingoizmowi Chamberlaina zarówno jak przeciwko „wszechniemieckiemu błażeństwu“ (allddeutsche Narrheit). W tym ostatnim toaście nakłaniał do zgody, do pojednania, stając między przeciwnikami z oliwną gałązką w ręku. I to on, przecie pogromca Słowian, pisał: „Fanatyzm staje się niepoprawnym. A jednak nie traćmy nadziei. To obowiązek poprostu wierzyć w biedną ludz-

kość, aczkolwiek obowiązek ten staje się coraz cięższym...“ Co za sprzeczności! Czy ten, kto je popelniał, zasługuje na miano uczonego, co do Prawdy zbliżał się pełen pokory, z całkowitym przeświadczeniem o odpowiedzialności za każde wypowiedziane słowo? Dwu w nim żyło ludzi: uczony i artysta. Uczony jeden z największych stulecia: archeolog rzymski, lingwista, epigrafik, numizmatyk, prawnik, wszędzie oryginalny, z jednaką kompetencją rozprawiający o fragmentach ślepego Appjusa, Kasiodora czy Jordanesa, o rolnictwie u Kartagińczyków czy Chińczyków, zawsze zwalczający ciasny wulgarny „patryjotyzm“ w nauce, żądający, aby służyła ludzkości, a nie etnografii. „Jakże biednym, małym i mizernym jest świat w oczach człowieka, który w nim widzi tylko pisarzy greckich i łacińskich, warstwy geologiczne albo zagadnienia matematyczne!“...— wołał w słynnej mowie akademickiej, poświęconej pamięci Leibnitza. Ale poza uczonym jest artysta, dziwnie ruchliwy, zmienny, fantastyczny. Artysta namiętny, łatwo pobudliwy, pełen temperamentu, o żywej wyobraźni, pierwszorzędny talent literacki. Artysta jednak zimny poniekąd. Nie z pokolenia Micheleta, a więc obrońca nie każdej szlachetnej i pięknej sprawy, kochający wszystko, co żyło na ziemi i cierpiało, spółczujący każdej krzywdzie i niedoli—entuzjasta nie serca, jeno mózgu, jeno rozumu.

Oto dlaczego kochał wszystko, co było silne i gienjalne, oto dlaczego kochał Róme.

Byłoby to rzeczą zgola prózną, gdybyśmy starali się dać tutaj ścisły, chronologiczny obraz jego pracy naukowej. Na to trzeba być specjalistą wielokrotnym. Kto wie, czy dziś taki znaleźć się może. Na to trzeba być poprostu „mommse-nistą.“ Kiedy w r. 1887 Niemcy uczono obchodziły 70-tą rocznicę urodzin Mommsena, bibliotekarz heidelberski Zangenmeister obliczył produkcję jubilata na ośmset kilkadziesiąt numerów bibliograficznych. Od owego czasu urosła ona do tysiąca kilkuset tytułów. W tym skarbcu każdy szuka, czego mu potrzeba. Nam wystarczy znajomość największych jego prac z dziedziny dziejów i prawa (państwowego, karnego) rzymskiego. Na tej oto znajomości oprzemy jego charakterystykę.

Mówiliśmy dotychczas o uczonym. Powiedzmy o człowieku. Dodajmy też kilku dat biograficznych. 1849 wspólnie z bratem (Tycho M., filolog) i Teodorem Stor-

mem ogłasza zbiór poezji lirycznych. Potym na koszt rządu duńskiego odbywa swoją pierwszą wyprawę włoską (do r. 1847). Budzi powszechny podziw pracą o „staroitalskich dżalektach.“ 1848 zostaje profesorem prawa cywilnego w Lipsku. Banita, szuka schronienia w Szwajcarii i zostaje nauczycielem prawa rzymskiego w Zurychu (1852). Tutaj pisze pierwsze 3 tomy swojej *Historji Rzymskiej*. 1854 wraca do ojczyzny. Początkowo profesor w Wrocławiu, 1858 r. zostaje profesorem w Berlinie, od r. 1874 sekretarzem dożywotnim Akademji Nauk. Jeden z twórców partji liberalnej niemieckiej. 1863—1866 oraz 1873—77 zasiadał w Sejmie pruskim, a w parlamencie 1873—1877 r. Był liberałem, był monarchistą, zwalczał republikańców (1848 r.) później społecznych-demokratów. Jednak upiór reakcji zmusił go poniekąd do kompromisu i wszyscy pamiętamy jego słynne pismo zeszłoroczne domagające się pojednania na gruncie działalności parlamentarnej wszystkich żywiołów liberalnych bez różnicy barw i odcieni.

Pamiętam go z czasów berlińskich. Był jedną z najpopularniejszych jednostek w mieście. Suchy starzec o siwych rozwianych włosach, znany był każdemu, pokazywano go sobie na ulicach, znali go konduktorzy tramwajowi. Spotykałem go pod Lipami, w okolicy Akademji, w przedsionku biblioteki królewskiej, otoczonego wszędzie czią niebawą: ostre rysy twarzy, czoło i nos przypominające zupełnie głowę cezara wyrytą na monecie rzymskiej—sprawiały, że nie sposób było zapomnieć, gdy go się raz widziało. Zamysłony, z gromadą papierów pod pachą, żył pełnym życiem niespożytego pracownika i obywatela, przykład cudowny pracowitości benedyktyńskiej i wytrwałości bohaterskiej. Zapewne, że się mylił: był człowiekiem. Był to jednak błąd w dobrej wierze. Wulkany gienjuszu, jak wszelkie wulkany, wyrzucają ze siebie słupy ognia, ale i słupy dymu, ale i ciężkie śmiertelne kamienie. Są nie tylko piękne, ale i sieją zniszczenie. Zapewne, że miał Mommsen wady—były to jednak konsekwencje jego—zalet.

I dlatego, idąc dzisiaj za jego pogrzebem, nie pamiętamy mu słów, które w zapamiętaniu chwilowym powiedział. Nasz wieniec z samych wijemy nieśmiertelników. Niechaj symbolizuje wieczną o nim, niegasnącą, niewiedną pamięć.

Er hat gelebt und geliebt.

DN

S. Posner.

William Edward Hartpole Lecky

(1838—1903).

W jednej ze swych prac nad historją konstytucji angielskiej prof. Gneist robi uwagę, że pisarze angielscy nie mają zmysłu historycznego. Jasna, że nie mógł uważać Gibbona za przedstawiciela myśli angielskiej, a zwłaszcza angielskiej metody historycznej. Istotnie, ten historyk pisał nawet w języku francuskim i był duchowym dzieckiem, i towarzyszem zarazem, plejadi myślicieli francuskich, słynącej pod nazwą „encyklopedystów“. Następcy Gibbona w Anglii na niwie badań historycznych nietylko nie dorównali autorowi „Historji upadku państwa rzymskiego“, ale, co gorsza, cofnęli się pod względem metody naukowej. Stubbs zbierał dokumenty, Macaulay stał się orędownikiem whigizmu, Gardiner poszedł w ślady Stubbs'a, Froude'a trzeba chyba uważać za powieściopisarza, pełnego werwy, namiętności i fantazji wybujałej. Słowem, powiedzenie Gneista o historykach angielskich nie było nieuzasadnione.

Zmarły Lecky nie stanowił wyjątku, jakkolwiek prace jego odznaczają się większą sumiennością od opowiadań Froude'a i pomimo tego, że bardziej niż Stubbs umiał uchwycić całość obrazów dziejowych. Historyk angielski, zmarły d. 23 października r. b., nie był pozbawiony odwagi cywilnej, tak niezbędnej dla ludzi nauki w Anglii, ani obiektywizmu, tej pierwszorzędnej dla historyka zalety. Ale obiektywizm Lecky'ego był obiektywizmem kronikarza a nie myśliciela; jego odwaga cywilna nie przekraczała pola przekonań niejasno określonych.

Lecky z urodzenia był Irlandczykiem, ale pochodził z rodziny protestanckich właścicieli ziemskich, osiadłych w hr. Carlow. Urodzony w r. 1838 pod Dublinem, początkowe wychowanie otrzymał w Anglii, w Cheltenham, dokąd przeniesiono go po wczesnym zgonie ojca. Uniwersyteckie wykształcenie pobierał w Dublinie, w sławnym Trinity College. Mury szkolne św. Trójcy są zbyt wysokie, by pozwoliły wychowancom poznać Irlandję rzeczywistą, ale i w murach tych niekiedy rozkwita tradycja Grattanów, Floodów i owych „wolontariuszy“, którzy w końcu w. XVIII walczyli o reformę rządów angielskich na Zielonej wyspie.

Lecky, który zamierzał przygotować się do kariery duchownej w uprzywilejowanym kościele anglikańskim, dał się uwieść wspomnieniom o szermierzach protestanckich za tolerancję na nieszczęsnej wyspie Zielonej. Cienie Grattan'a i Flood'a stanęły przed nim w okresie po klęskach głodu, po nieudanym ruchu z r. 1848, w okresie wielkiej nędzy i wychodźstwa oraz praw wyjątkowych. Młodzieniec porzucił myśl o karierze w kościele anglikańskim, a uległszy wpływom liberalizmu wyznaniowego jał myśleć o konieczności „zadosyćuczynienia“, jakie Anglja winna jest Irlandji. Nieokreślony nakaz moralny przemówił w wychowawcu św. Trójcy anglikańskiej. Zamiast przywdziać na siebie sukienkę pastora pusił w świat „Przodowników opinji publicznej w Irlandji“ (1861 r.). Do postaci Grattan'a, Flood'a i Swifta dodał katolika O'Connella, gdyż Lecky w pierwszym rządzie poczytywał równouprawnienie religijne za wyraz „zadosyćuczynienia“ dla Irlandji.

W r. 1865 zjawia się nowa praca 27-letniego badacza, a mianowicie „Historja powstania i wpływu racjonalizmu w Europie“, w cztery lata zaś później, poniekąd jako jej uzupełnienie. „Dzieje moralności europejskiej od czasów Augusta aż do czasów Karola Wielkiego.“ Pierwsze z tych dzieł i dziś jeszcze posiada wartość: autor wyzyskał znakomicie całą ówczesną literaturę francuską o sztuce chrześcijańskiej; natomiast racjonalizm pojmując w urywkowo, bez związku z całokształtem rozwoju myśli ludzkiej. Drugie z powyższych wymienionych dzieł pisał pod wpływem literatury „użytych niedokładnie a często źle zrozumianej. Czytając dziś o kłopotach sumienia Lecky'ego nad rozwiązaniem np. kwestji, czy przechadzka w niedzielę jest czynem moralnym lub nie, mimowoli wkrzeszamy w swej wyobraźni ciasne rozprawy, ja kie odbywały się w murach św. Trójcy.

Obie te prace wywołały w Anglji burzę przeciw młodemu uczonemu. Jakkolwiek nie było wątpliwości, że Lecky nie uległ pokusom Benthamistów ani Buckle'a, ale ogół bigoterji angielskiej czuł, że wychowaniec „Trinity“ Dublińskiej przechodził około... Venusberg'u myśli naukowej. Z drugiej strony chwiejność i wąskość poglądów Lecky'ego wywołały przeciw niemu ostre napaści ze strony pozytywistów angielskich. John Morley, towarzysz szkolny Lecky'ego z Cheltenham, zrobił

wcale słuszne spostrzeżenie, że w pracach młodego historyka jest mieszanina „dobrze ukojonego sentymentalizmu z łagodnie pobudzającym racjonalizmem.“ Ale krytyk ten unosi się już gniewem, gdy z powodu „Dziejów moralności“ dodaje, że autor ich nie jest krytykiem dokładnym, ani wykład jego jest wiarogodnym. Słowa Morley'a są słuszne tylko o ile dotyczą wstępu teoretycznego, w który Lecky swe dzieło zaopatrzył. Co zaś do faktów, Lecky dobiera ich jak umie, to jest według swego temperamentu łagodnego, dobrze myślącego i tolerancyjnego kaznodziei.

Od r. 1878 do r. 1890 zmarły badacz ogłasza „Dzieje Anglji w końcu w. XVIII. Drugie wydanie jest dokładniejsze i materiał historyczny w nim został lepiej uporządkowany. Praca to niezmiernie cenna, a szczególnie tomy (5 i 12), dotyczące Irlandji. Główny zarzut, jaki można zrobić temu dziełu, polega na tym, iż nie stanowi ono całości, jest raczej zbiorem szkiców i studjów, aniżeli obrazem rozwoju Anglji. Materiał wszakże jest tak obfity i tak sumiennie zebrany, iż czytelnik zawsze zachowa wdzięczność dla pracowitego badacza. Zaslugi Lecky'ego są tym większe, że będąc przeciwnikiem „samorządu“ dla Irlandji dał przecie taki obraz rządów angielskich na Zielonej wyspie, iż książka jego jest do dziś dnia źródłem, z którego czerpią swe argumenty zwolennicy *home rule'u*.

Historja Anglji jest ostatnią poważną pracą zmarłego uczonego. W r. 1891 ukazał się tomik jego poezji bez wielkiego natchnienia. Większą wartość posiada jego „Demokracja i wolność“, w której hołduje zresztą względem demokracji sceptycyzmowi ironicznemu Maine'a. Brak krytycyzmu u Lecky'ego najlepiej uwydatnia się we wrogim stosunku do reform agrarnych w Irlandji, do reform, które nawet „ograbieni“, t. j. właściciele ziemscy, za konieczne dziś uważają. Wreszcie zaznaczamy jeszcze ostatnią pracę historyka: „Zadania życia“ (The Map of Life) — człowieka walczącego ze złem, ale nie widzącego dobrze dobra. Nie chcemy wszakże w sposób złośliwy zakończyć życiorysu sumiennego badacza dziejów angielskich...

Uniwersytet dubliński wysłał kiedys Lecky'ego jako przedstawiciela swego do izby gmin — niefortunnie. Lecky to zrozumiał i cofnął się z posterunku dlań nieodpowiedniego. Jako członek parlamentu był ofiarą karykaturzystów. Jego wysoka, chuda postać rzucała się w

oczy „fabrykantom śmiechu“, a w postaci wyrażał się i jego charakter. Nie posiadał stałości Milla; Carlyle nazwał Lecky'ego „gietką wierzbą“.

Ożeniony z baronówną de Dedem, panną dworu królowej holenderskiej, Lecky miał dostęp do wszystkich sfer, gdzie mu przebaczano jego „zlekka drażniący racjonalizm“. Stanowisko opozycyjne względem „home rule'u“ pogodziło go nawet z teologami ze św. Trójcy. Jednak honory i zaszczyty nie oszałamiały zmarłego. Wierny zawsze zasadom liberalizmu był gorącym orędownikiem amnestji dla fenianów i osadzonych za zbrodnie agrarne dzierżawców irlandzkich, nie ustępując przed protestami ze strony swych wyborców fanatycznych. Zarówno w nauce jak i w życiu był on zawsze prawnym człowiekiem.

Sygma.



Typy okrutne i krwiożercze.

II.

Nitki tej samej barwy, wchodzące w osnowę, splatają się z innemi w różnorodne wzory w tkaninie, która wydobywa się z warsztatu: idą tam jednym zwartym a wyodrębnionym pasemkiem, to rozproszone przeświecają wszędy całej sztuki. Tak samo typy okrutne wplatają się rozmaicie w życie narodu, a raczej ujawniają w nim swoją obecność, bądź gęściej, nawet bardzo gęsto zaznaczając swój wpływ, bądź rzadziej występując, a nawet stając się niemal niedostrzegalnemi.

Ustawa społeczna, w miarę tego jak rozstrzelanie średniowieczne ustępuje miejsca centralizacji państwowej, pozostawia okrutnikom coraz mniej wolnego przestworu, t. j. wybryki ich chuci coraz rzadziej mijają bezkarnie. Wieki średnie, gdy kraj rozpadał się na mnóstwo niezależnych faktycznie dzielnic, sprzyjały niepokojom i rozrywce wojennej. Historycy włoscy obliczyli, iż podczas zatargu Gibelinów z Gwelfami istniało we Włoszech 172 odrębnych ognisk władzy — rzplit miejskich, margrabstw, księstw i t. d., a w każdym z nich ambicje osobiste i interesy partyjne ścierały się z gwałtowną namiętnością, każde zaś takie ognisko znajdowało się na stopie wrogiej z ościennemi. Sąsiad dusił sąsiada, puszczał z ogniem dobytek jego podwładnych, znęcał się, ilekroć

nadarzyła się okazja, na którą nie trzeba było długo czekać; wśród dorywczych i drobnych, ale powtarzających się ciągle wypraw i utarczek nawet pospolity śmiertelnik tracił wrażliwość na krew, żywał się z okrucieństwem, urodzony okrutnik zaś czuł się w tym otoczeniu jako we własnym swoim żywiole, bo nigdy nie zbrakło żeru dla jego nienasyconej chuci, — żeru, który nie pociągał za sobą kary. Prowadzono wojny w sposób barbarzyński. „Mieszko — pisze Rocznikarz saski pod r. 1030 — spustoszył ogniem i mieczem pomiędzy Łabą i Saalą przeszło sto wiossek, uprowadził 9065 chrześcijan mężczyzn i kobiet, wziął do niewoli biskupa brandeburskiego jako pospolitego jeńca, nie szczędził świętych ołtarzy, ale wszystko splamił mordem i krwią i przywłaszczał sobie szlachetne a bogobojne niewiasty zbrojną ręką. Tylko jedno było ocalenie przeciw tak wielkiemu nieszczęściu, a mianowicie upragniona śmierć. Barbarzyńska ręka pogan kaleczyła nawet ciężarne kobiety lub kłóła dzidą. Kazał wszystkim wyrznąć, którym lata podszłe, delikatna młodość, niemoc lub słabość sił odmówiły“. A takie prowadzenie wojny bynajmniej nie było właściwością jedynie pogan w stosunku do chrześcijan, bo i chrześcijanie w zatargach pomiędzy sobą hołdują takim samym zasadom. Stronice kronik średniowiecznych obfitują w opisy o strasznym znęcaniu się nad wrogami, o okrucieństwach bez liku. A im któryś z panów odznaczał się większym rozpasaniem wojennym, tym bodaj czuł się pewniejszym w swoim zamku. Dobierał drużynę, która szła za nim ślepo; interes nawet kazał mu otaczać się okrutnikami, którzy w tym okresie niepokojów i grabieży przekroczyli dozwolone granice — w ogóle bardzo rozległe — i szukali ucieczki przed odwetem skrzywdzonych: potrzeba przywiązywała zbirów do herszta, który podczas zawieruchy wojennej patrzył pobłaźliwie na wszelką swawolę. Jeszcze wojna trzydziestoletnia, wyprawy szwedzkie, wojny w. XVIII odznaczają się niesłychanym pastwieniem się nad bezbronni mieszkańcami. Okrucieństwo kładło piętno swoje także na całą procedurę sądową. Na naszej Puszce Zielonej, „kto kilkakroć czynił co się dotyczy miodu, takowemu kat ma wyrznąć pęp, i z niego kiszki wytoczyć i tak z niemi czekać aż zdechnie, a potem zdechłego obiesić“. Karę tę stosowali bartnicy, którzy nie przeszli przez wyrafinowaną szkołę procedury sądo-

wej miejskiej z jej torturami, mistrzem-katem! To piętno okrucieństwa spoczywa na procedurze sądowej jeszcze w w. XVIII. W kodeksie Marji Teresy jeden z paragrafów obwieszcza: przestępca będzie posadzony na wozie wysokim i oprowadzany dokoła miasta, na pierwszym miejscu będzie szczypany w prawą pierś rozpalonemi obęgami, w drugim — zostanie wycięty mu z lewego karku skrawek skóry, w trzecim — obęgi wyrwą kawałek lewej piersi, w czwartym wytną część skóry z prawego grzbietu: następnie będzie wleczoney na desce do miejsca kary, tam zostanie odcięte prawe ramię z głową, tułów zaś wpleciony w koło.

Okrutnik miał liczne okazje własnoręcznego ćwiczenia ręki swojej jak i napawania się widokiem cierpień: każdy zameczek posiadał lochy, pan jego — zapewnioną bezkarność, każde miasto — narzędzia tortury i obchody krwawe a publiczne wymiaru sprawiedliwości, każda rodzina wyznawała zasadę: „a szanuj rękę ojcowską co bije“, niesnaski wewnętrzne zaś dostarczały obficie możliwości znęcania się. To, o czym marzył ongi Macchiavelli, a mianowicie ażeby zamiast jednej i drugiej setki swawolnych panów ojczyzna jego posiadała chociażby najokrutniejszego, ale jednego tylko pana, bo okrucieństwo jednego dałoby się mniej we znaki niż wybryki setki, ziściło się wreszcie. Krzepnie zwolna centralizacja społeczna, a jako jej wyraz ukazuje się państwo nowoczesne i od początku swego staje się wielką organizacją asekuracji wzajemnej — dostarcza członkom swoim rękami bezpieczeństwa osobistego. Z biegiem czasu idea państwowa doznaje rozszerzenia: organizacja społeczna powinna być asekuracją wzajemną dostatku i szczęścia. Te ideały, acz bardzo powolnie, wcielają się w życie, jednak samym swoim pojawieniem się świadczą, iż swoboda, tucząca się cudzą krzywdą, doznaje coraz większego ścieśnienia — przynajmniej swawola jawna, krwawa. Ustrój nasz dzisiejszy jest w swej zasadzie ustrojem pokojowym — w zakresie powszedniego pasma zdarzeń i wypadków. Ręce, które rwą się do okrucieństw fizycznych, zostały spętane przez prawo, poglądy moralne, zwyczaje, wreszcie przez sam tryb życia codziennego. Nie oznacza to jeszcze, ażebyśmy wśród siebie posiadali mniej okrutników, jeno że ci ostatni nie rozporządzają dawnym przestworem do bezkarnej swawoli, że nie mają dawnej sankcji czynów swoich we własnym rozkazniku moralnym.

Coraz im ciśniej, coraz bezpośredniejsza grozi odpowiedzialność!

Zabrakło dawnego przestworu dla okrucieństwa wewnątrz rodziny. Ci z pośród czytelników, którzy swoją pamięcią sięgają w czasy odległe od nas zaledwie o pół wieku, przypominają sobie owe rady pedagogiczne, które wydawca ozdabiał elementarze:

...Róźdzką Duch święty dzieciutki bić radzi,
Róźdzka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi.

Były czasy, gdy ów upominek Ducha św., niekiedy w formie bardziej surowej, należał do niezbędnych monitorów w rękę każdego wychowawcy. Dla nikogo nie robiono wyjątku: od książąt krwi aż do dziecka najpośledniejszego chudopacholka stosowano ten środek zbawienny, o którym zapewnia pedagog starej daty, że „choć bije, nie połamie kości, a dzieci oduczy od wszelakiej złości“. Nawet państwo dzisiaj wtrąca się do samowoli rodziców i karze rękę, która zbyt często i zbyt dotkliwie używa monitorów w rodzaju różdżki, pedagogika zaś oznajmia, iż środek ten zgola nie świadczy o umiejętności wychowawczej tego, kto nim się posługuje, lecz jest dowodem niezaradności jego i niemocy.

Zanika chłosta i jej równoważniki w dwu innych urządzeniach, które najuporczywiej rozstają się z tradycjami średniowiecznymi — wśród murów więziennych i w wojsku. Zrozumiano i tutaj, iż środki gwałtowne, dając ujście dla chuci okrucieństwa z jednej strony, z drugiej stwarzają jedynie karność pozorną, pod którą tli się zarzewie nienawiści, czekające na okazję odwetu. Procesy, wytaczane oficerom i podoficerom ostatnimi czasy w Niemczech, nie tylko dowodzą wpływu opinii publicznej na sfery wojskowe, ale także — uświadamiania sobie przez władzę tej prawdy, iż należy innemi, humanitarniejszemi sposobami utrzymywać spójnię wśród zastępów wojskowych.

Ubywa więc przestworu dla swawoli. Jedynie na krańcach naszej cywilizacji, tam gdzie styka się z ludami barbarzyńskimi, istnieje dawna swoboda wyuzdanej rozrywki krwawej i odbywają się straszne swoim okrucieństwem rozprawy, które świadczą, iż nie tyle my sami usposobieniem swoim, ile nasze stosunki codzienne i tekst prawa odbiegły od dawnych wzorów. Śród codziennego biegu życia sadyzm tylko wyjątkowo, i to w sposób bierny, może paść oczy swoje wi-

dokiem krwi świeżej, bólu i dręczenia. Istnieją bowiem tu i owdzie jeszcze wielkie sabaty chuci krwawej: walki byków w Hiszpanji, publiczne egzekucje zbrodniarzy. Jak kruki ściągały zewsząd na żer, tak gromadzą się okrutnicy na takie obchody. „Udajcie się na egzekucję główną, na widowisko walki byków lub bój kogutów i badajcie mimikę widzów — napewno wyczytacie tam straszne objawienia!“ *) Jeden z mistrzów pióra, Turgienjew, pozostawił wspaniały opis uczuć swoich wobec gilotyny i zgrai gapiów, tłoczących się dokoła *m-me louison*. „Zwrotka piosenki cynicznej biegła z ust do ust, nagle rozlegał się śmiech przeraźliwy, który wywoływał wrzawę, a następnie hałas nieokreślony, jak gdyby tyśiące gęsi trzepotało skrzydłami o kałużę... Nie był to hałas zawsze jednakowy; wybuchał wielki łoskot, konwulsje, wśród których zrywały się ostre tony głosów kobiecych i dziecinnych i zamilkły jak fale, gdy się rozpryskują na deszcz drobny. Czuliśmy się jak gdyby w obecności form brutalnych żywiołu... Ten lud zebrany rozsiewał woń przykrą, wszystkie te ciała wchłonęły olbrzymią ilość wina. Było dużo pijanych. Szynki iskrzyły się jak punkty czerwone na tle obrazu. Noc stała się czarną. Na drzewach, które zarysowywały się jak widma, siadały kupy uliczników, gwizdających i naśladujących świergot ptaków. Jeden z nich spadł i skrzył kark. Zranił się śmiertelnie, ale tłum śmiał się tylko z niego... Nie chciałem wejść na rusztowanie. Uczucie zbrodni, wstydu tajemnego opanowywało mnie coraz bardziej... Hałas stał się ogłuszającym; chór złowrogi nie brzmiał już crescendo, lecz wybuchał tryumfalnie, radośnie“. Jednak idea humanitarna, nie mogąc usunąć samej gilotyny, spędziła ją z placów publicznych do zamkniętych zaułków wśród murów więziennych i zniosła bezpłatne a społeczne sabaty sadyzmu. Domaga się zakazu walki byków, bierze w opiekę swoją zwierzęta, przedostaje się nawet do jaźni okrutników i obezwładnia ich niekiedy, a w każdym razie przeciwstawia krwawym popędom głos wewnętrzny rozkaznika moralnego. „Zwierzenia — pisze z tego powodu Saury *) — niektórych dziedzicznie obciążonych, zwyrodniałych uczciwego charakteru, odkrywają nam walki staczane z pokusami i trudno zdać sobie sprawę z ponoszonych przez nich cierpień. Jeden z

nich, najłagodniejszy z ludzi, niezdolny do dobrowolnego złego postępku, ani do złych myśli, lecz dręczony gwałtownymi popędami, rzekł mi pewnego dnia: wołałbym otrzymać trzydzieści tysięcy uderzeń kijem, niż być napastowanym przez zbrodnicze myśli; nie tyle mnie męczy chęć samobójstwa, ile podpalania lub mordowania moich bliznich, a co dziwniejsza, gdybym wciąż nie panował nad sobą, gotówbym użyć podstępów, byleby te zamiary doprowadzić do skutku“. Natura okrutnika szarpie się w pętaach naszej pokojowej organizacji społecznej, braknie jej powietrza i przestworu, krwawe zawody uszczuplają się w liczbie swojej. Pozostaje jej wreszcie jedno: zabarwić okrucieństwem zajęcia zwyczajne. Oto niejaka Marja Jeanneret, kobieta dość zamożna: zostaje dozorczynią chorych, aby dosypywać trucizny do leków i pokarmów. Morduje w ten sposób 20 osób. Oto furman, znęcający się nad końmi w sposób brutalny, aż póki ręka przechodnia nie zatrzyma go i nie odda w ręce sprawiedliwości. Oto podoficer Breitenbach, któremu sąd wojskowy w Berlinie udowodnił systematycznego znęcania się nad żołnierzami: dopuścił się 300 ciężkich przekroczeń prócz mnóstwa drobniejszych. Oto taki nauczyciel domowy Dippold. Gdy na sądzie zeznawał jeden z malców, powierzonych jego opiece, obecni płakali, a niektórzy wołali: „niemożemy słuchać dalej!“ „Spaliśmy w tym samym pokoju — opowiadał malce, — pokoju nieopalamo. Dippold miał kołdrę, my leżeliśmy nadzy, kazał on wynieść materace. Ręce nasze były związane z tyłu, nogi przytłoczone do łóżka. Niekiedy spaliliśmy niewiązani. Wtedy Dippold budził nas nocą bijąc kijem i zmuszał w ciągu całych godzin stać przy łóżku. Kij miał sęki. Musieliśmy liczyć uderzenia, niekiedy dostawaliśmy 40 i 50 uderzeń. Często mdleliśmy. Bił nas także podczas dnia. Zmuszał nas boso biegać po śniegu, odmroziliśmy sobie nogi. Jednej nocy złamał, bijąc nas, 6 lub 7 prętów“. Jeden z malców umarł na skutek takiego obciążenia się, a nie oszczędzono mu uderzeń nawet w chwili skonu. Wszystkie te okazy tak nie umieją panować nad swoją brutalnością, tak mało są zdolne do brania w rachubę oczekującej je odpowiedzialności, iż rodzi się pytanie, o ile ci ludzie nie stoją już u progu obłądka, a przynajmniej pół-obłądka, który sprzyja doskonałemu ujawnieniu się ich przyrodzenia chuciowego. Ale istnieją typy bardziej uduchowione,

które pastwią się nad innymi w imię dobra tych ostatnich, nie poczuwając się do przekroczenia nakazów moralnych. Oto wychowawca, który, nieświadom rzeczy wistych pobudek, sam naprasza się na opiekuna małoletnich, a znalazłszy się na tym stanowisku, za łada przekroczenie, niekiedy nawet urojone, wcielał w życie zasadę, iż „ródzką Duch święty dziateczki bić radzi!“^{*)}, aż póki nie ocknął się przed krótkimi sądowymi. Krafft-Ebbing, poświęciwszy temu „dobroczyńcy“ niewielki ale ładny szkic, pisze: *) „Życzliwość ojcowska zdarza się często u przewrotnych pod względem fizjologicznym natur, które nie tyle pożądają zaspokojenia zmysłowego, ile wrażeń duchowych. W ograniczoności i przewrotności swej myśli taki okaz może spoglądać na swe pobudki sadyistyczne pierwotnie z punktu obowiązków wychowawczych i opiekuńczych, nie pojmując ich źródła lubieżnego; może nawet stale trwać w tym samoobłądzie, ponieważ powołanie wychowawcy i opiekuna jako idee fixe panują nad nim. Na skutek słabej chuci zmysłowej towarzyszą czynom władzy wychowawczej tylko przyćmione wrażenia zmysłowe w charakterze czuć drugorzędnych. Odczuwał on za sprawą swej niedowrażliwości płciowej jedynie słabe, przedewszystkiem zaś duchowe podniecenie wobec chłosty, i dlatego poczytywał czyny swoje za prawowite i zgodne z duchem pedagogiki“. Jeszcze o parę ogniw dalej, a znajdziemy się w obliczu pedagoga lub publicysty, z upodobaniem szczególnym snującego wywody o dobroczynnych wpływach ródzki, zresztą i Dippold zamierzał w całym traktacie wyłożyć zbawienne skutki stosowanego przez siebie systemu. Jeszcze na wyższym stopniu uduchowienia ujrzymy artystów, którzy za przedmiot pędzla wybierają znęcanie się nad nagiemi kobietami i w ogóle sceny okrutne, tak jak ów półobłąkaniec, który w snach widywał w pokoju swoim tłum nagich dziewcząt, sam zaś je chłostał, aż póki widziadeł sennych nie zamienił na rzeczywiste znęcanie się; lub powieściopisarzy, którzy zamiast żywych istot dręczą bohaterów swoich — jak mistrz średniowieczny wyciągał skazańców na ławie męczarni, tak oni pastwią się nad duszą ludzką, wprowadzaną w powieści.

*) Krafft-Ebbing: Flagellatio puerorum als Ausdruck des larvirten Sadismus eines paedophilen Conträrsexuellen (All. Zeits. für Psychiatrie und psych.-gericht. Medizin 1901, 553 — 554 passim).

*) Mantegazza, l. c., 150.

**) Saury: Les dégénérés, Paryż 1886.

Słowem, typ okrutny jak nitka, niedostrzegana na pierwszy rzut oka jednak obecna w tkaninie, wsiąknął w różne, najbardziej z ducha swego pokojowe czynności i zdradza istnienie tam, spełniając obowiązki w właściwy sobie sposób. Nie tyle zawód, ile określony *modus operandi* charakteryzuje okrutników naszej doby. Ale nie zawsze i nie wszysktych!

L. Krzywicki.



NOTATKI NAUKOWE.

Ofiary zwierzęce wśród naszej cywilizacji.
S. Reinach, w ciekawym artykule, zamieszczonym w „l'Anthropologie” 1903, opierając się na pracy uczonego angielskiego Conybeare'a, udowadnia, iż ofiary krwawe zwierzęce trwały długo w kościołach chrześcijańskich.

Gdy pod koniec w. III-go po N. Ch., król armeński, Irdat, został nawrócony przez św. Grzegorza na wiarę chrześcijańską, trudna do rozwiązania kwestja oczekiwania nowoobchrzczonego władcy. Co uczynić z całą hierarchją kapłanów, piastujących swój urząd, jako godność dziedziczną, a którym za pożywienie służyło przeważnie mięso zwierząt, składanych bogom na ofiarę? I oto sam św. Grzegorz podał środek zaradzenia złemu: pozwolił i nadal składać ofiary krwawe, byle tylko lud nie poświęcał ich złym duchom lub pogańskim bożkom. Barbarzyński zwyczaj pozostał w Armenji, a nawet z czasem wśród ludu tamtejszego rozpowszechniło się mniemanie, iż grzechy osób, składających zwierzęta na ofiarę, lub tych, za których składano ofiarę, przechodziły w sposób tajemniczy na zabijane zwierzęta, oczyszczając duszę grzesznika od zma-

zy. Ofiara odbywała się zwykle w sposób następujący: zwierzę, mające być zabitym, przyprowadzano przed wrota świątyni; tu kapłan dawał mu polizać trochę soli, poczym, oparszy lewą rękę na głowie zwierzęcia, prawą zadawał mu cios śmiertelny. Następnie odbywała się agape, czyli spożycie mięsa ofiarnego, wreszcie odprowadzano Mszę Świętą.

Znacznie później, gdyż około r. 700 po N. Ch., spotykamy jeszcze dowody, iż ofiary krwawe trwały w Armenji. W kano-nach armeńskich, datujących się z tej właśnie epoki, czytamy, iż w dniu poświęcenia nowozbudowanego kościoła przez biskupa, należy złożyć Bogu na ofiarę kilka wołów oraz owiec; pozwalano również ofiarowywać osła, jako zwierzę, które służyło ongi za wierzchowca Chrystusowi, lecz w tym wypadku spożywanie mięsa było surowo wzbronione. Ciekawy opis ofiary z jagnięcia Wielkanocnego znajdujemy u patryjarchy armeńskiego — Nersesa — zmarłego w r. 1175: „Kapłan poświęci najprzód sól”, — pisze on — odmawiając przytym modlitwy i psalmy, a następnie da ową sól jagnięciu, by je oczyścić, zanim zostanie ofiarowane. Potym kapłan zarznie czyste już od zmyzu jagnię. Jednocześnie jednak patryjarcha potępia obyczaj ludowy zbierania i zjadania krwi zwierzęcia oraz naznaczania nią drzwi domostw. Zwalcza on również mniemanie, jeszcze w w. XII-ym silnie zakorzenione w Armenji, iż ofiara Mszy Świętej na intencję dusz zmarłych nie może być skuteczną, jeśli ofiary krwawe jej nie towarzyszą. Te właśnie ofiary krwawe, praktykowane w Armenji, dały powód kościołowi bizantyjskiemu, iż obarczył Armeńczyków zarzutami hołdowania obrządkom żydowskim. Lecz tu możemy zanotować fakt nader dziwny: Bizancjum, które tak gorąco potępiało ofiary krwawe, samo nie było od nich wolne. W bibliotece Barberinich, przechowywanej obecnie w Watykanie, istnieje dokument z w. VIII-go, który w czasie Unji Florenckiej przedstawił papieżowi Bizancjum, zawiera-

jący spis obrządków właściwych kościołowi greckiemu. Spotykamy tam między innymi „Modlitwę przy ofiarowywaniu jagnięcia”. W rękopisie zaś Grotta Ferrata odnajdujemy modlitwy, towarzyszące ofiarom z wołów, koni, oraz innych zwierząt.

W Syrii Wschodniej ofiary zwierzęce trwały aż do dni naszych, szczególnie wśród Nestorjan, zamieszkujących okolice Urmji. Około 200 jagniąt bywa tam rokrocznie poświęcanych, gdyż mieszkańcy starają się zażegnać grożące im klęski i odwrócić od siebie gniew boży zapomocą krwawych ofiar zwierzęcych. Gdy źródło np. wysycha lub susza grozi pastwiskom, — natenczas ludność składa Bogu w ofierze wołu lub owce, a zgromadzeni spożywają mięso jego wraz z chlebem, ryżem i winem. Zresztą nawet w Europie Zachodniej ofiary takie trwały długo po wprowadzeniu chrześcijaństwa.

Papież Grzegorz Wielki (w. VII), pisząc do Melitusa, biskupa Londynu, zezwala na składanie wołów w ofierze, a zaleca jedynie, by podobne ofiary nie były poświęcane złym duchom. Pisma papieża Grzegorza i Zachariasza dowodzą, iż misjonarze krajów celtyckich powszechnie tolerowali wśród nowonawróconych obyczaj ofiar krwawych, a niektórzy z nich nawet, według słów papieża Zachariasza, zbyt już daleko posuwali swoją uległość obyczajom ludowym i sami zarzynali woły, jagnięta i kozy złym duchom na ofiarę.

Głównej przyczyny, na skutek której ofiary krwawe poczęły z wolna zniknąć z obrządków kościoła chrześcijańskiego, należy szukać we wpływie greckiej filozofji na naukę chrześcijańską w pierwszych wiekach jej rozwoju. Filozofja ta była wręcz przeciwna judaizmowi i jego obrządkom, a chociaż Kościół zwalczał ją w zasadzie, nie chciał zrywać nici łączącej Stary testament z Nowym — jednak bez zaprzeczenia poddawał się jej wpływowi i pod wielu względami podzielał jej zapamiętanie.

K. Stołyhwo.

Gustaf af Geijerstam.

15)

Książka o małym braciszku.

IV.

Niemalą podjąłem rzecz, bo walkę ze śmiercią podjąłem i czas, który nastąpił, był ustawicznym wahaniem między rozpaczą najczarniejszą i najświatlejszą nadzieją. Z jaką trwogą obserwowałem żonę moją w tym czasie! Jak żarliwie towarzyszyłem jej w wycieczkach na grób! I jakże się cieszyłem, gdy spokojna i pogodna, wołała ku sobie chłopców, opowiadała i czytała im, jak tylko ona jedna umiała!

Słyszałem więc znowu te radosne, naprzemian dźwięczące głosy... A przy obiedzie lub przy wieczornym świetle lampy znów chwytałem wysiłony, nieprzytomny wyraz jej twarzy... Kładł się na nas jak chmura i spowiadał wszystkich w milczenie.

Wtedy, rzekłbyś, odchodziła jej dusza, zostawiając nas samych. Chłopcy zamieniali ze mną spojrzenia, spojrzenia wyraźnie mówiące, że, o ile ich wiek pozwalał, rozumieli i cierpieli jak ja, jakkolwiek łatwiej im było rozerwać myśl. Svante wstawał, podchodził do matki; głaskał ją i nie zrażał się daremnością swego wysiłku. Przychodził potem do mnie i mówił:

— Tak mi mamusi żal!

Olof w takich wypadkach zachowywał się spokojnie. Próbował tylko rozmawiać ze mną, jak gdyby wszystko było w porządku. Lecz oczami śledził matkę i gdy ta, nie mogąc już dłużej patrzeć na nas i mówić z nami, wychodziła, aby być samą, skradał się cichutko pod jej drzwi i tak, nasłuchując, stał długo. Gdy milczenie przewlekało się, wchodził do

matki, a gdy zdarzało się, że prosiła, aby wyszedł, wychodził bez słowa i siadał zrezygnowany, jak gdyby wiedział, że od razu wszystkiego żądać niepodobna.

Było z nim, jak ze mną: spadłby mu ciężar z serca, gdyby wiedział tylko, co czynić.

I siedząc wtedy we trójkę, myśleliśmy o tym, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami, poza którymi żona moja wychylała cię coraz bardziej i bardziej ku granicy, będącej kresem życia.

— Wiecie, na co mamusia cierpi?—spytałem pewnego dnia.

Olof odwrócił oczy i nie odpowiedział ani słowa, Svante zaś odrzekł:

— Tak, wiem!

Zresztą, zbyt często pytałem. Wiedziałem bowiem, że żona przygotowała ich do tego, co przyjsz miało.

V.

Siedząc sam wieczorami, spisywałem rodzaj pamiętnika, by rozproszyć myśl, by wogóle zająć się czymkolwiek. Chowałem go na samym spodzie szuflady, aby przez nieszczęśliwy jakiś przypadek nie wpadł Elzie w ręce.

Odczytałem go teraz i jakkolwiek od czasu, kiedy go spisywałem, upłynęło niespełna dwa lata, wydaje mi się, że to niepodobna, że pisane to było Bóg wie jak dawno. W miarę jednak jak czytam, wszystko, co się stało, jak żywe wyrasta mi przed oczami i odnowa czuję całą mękę strasznej złudy, — złudy, która wtedy dodawała mi sił...

PAMIĘTNIK.

4 września.

Oto siedzę i myślę o małym Svenie. Wokoło cisza. I w ciszy wydaje mi się, że widzę go jak w dniach, kiedy, wtuliwszy małą, miękką rączkę w moją dłoń, chodził ze mną po ogrodzie, a wciąż szebiotał, podnosząc ku mnie dziecięce, pełne myśli oczy. Zapadam w to wspomnienie i wżera się we mnie nieopisana gorycz pewności, że nie zobaczę go już nigdy. Straszna gorycz! On to bowiem był centrem domu, jakkolwiek sam o tym nie wiedział; wokoło niego zbieraliśmy się przy każdej radosnej sposobności i, choć to był drobiazg, chcieliśmy wiedzieć, co powie. A teraz ojciec jego czyni co może, aby stłumić w sobie wspomnienie, by nie odebrało sił potrzebnych dla podtrzymania innych. Nie wolno mu nawet myśleć zbyt wiele. Smucić się nie wolno, bo wszystko pójdzie w gruzy.

Przyszeli-li po to, by matkę wziąć ze sobą i pograżyć nas wszystkich w smutku? Czy też po to przyszedł, aby odejść cicho i pięknie, jak odszedł, i wskazać nam śmiercią swoją wielką sztukę życia?

16 października.

Wszystko przemyślałem, widziałem wszystko. Teraz oto wiem, o co bój się toczy. Dzień w dzień patrzałem, z dnia na dzień było gorzej. A nie radość to—wiedzieć jasno. To—cierpienie. W czasie tym chwytalem każdą drobnostkę: słowo, spojrzenie wystarczały, abym do głębi duszy drżał, — wiedziałem bowiem, co znaczą. W mojej i chłopców obecności odpadała jakoby od nas i z niewidzialnym prowadziła rozmowy. Wyprężałem każdy nerw do ostatka, byle z oczu jej wykrzesać spojrzenie, któreby dało

świadczenie, że uświadamia sobie, iż nie jest sama. Patrzałem i na to, że ona wszystko czuje i rozumie, przeczuwa i wie wszystko, co w niej na nią czyha. W trwodze padła przede mną na kolana, błagając, bym nie oddawał jej z domu, nie tracił cierpliwości—jeszcze trochę.

Cierpię straszliwie, patrząc na jej walkę, a jednak wiem, że to, co stanowi dziś moją mękę, jest tylko inną stroną bogatej, wielkiej natury, której fale wysoko biją jak morze, natury, która niegdyś dawała mi wszystko szczęście i wszystką radość świata.

30 października.

Okropne naprężenie zdaje się przechodzić. Żona moja z dnia na dzień czuje się lepiej. Po mroku zimy dnie stają się przecież dłuższe i jaśniejsze.

8 grudnia.

Dawno pamiętnika nie miałem w ręku. Pracowałem. Napisałem sztukę — dziwnie ją pisałem. Wśród korekty i zajęć wszelkiego rodzaju, wśród słabości żony i zdenerwowania takiego, że wydawałem się sam sobie jak naciągnięta do ostatka struna, wstawałem raniutko, kradnąc sobie czas na pisanie. Noc w noc pisałem do drugiej. Piłem whisky, by nie zasnąć. I odrywałem się od roboty, by wyjść na kolarcję, słyszeć zgiełk i widzieć twarze ludzkie, by czuć wokoło gorączkowe życie, czuć jak faluje i pali mi skronie.

I sztukę skończyłem. Lecz teraz jestem zmęczony. Zaprawdę, ani sławy teraz nie gonię, ani autorskiej radości. Wydaje mi się tylko, że mózg mój żyje kosztem całego ciała. I żal, że dzień ma tylko dwadzieścia cztery godzin, gdy idzie o osiągnięcie niemożliwego.

25 stycznia.

Dziś żona moja siadła przy fortepianie. Nie śpiewała jeszcze, lecz i tak rozbrzmiała w domu muzyka i dawne melodje nastroiły dusze nasze na nowy, jaśniejszy ton. Wogóle zaszła w niej jakaś zmiana. Zbudziła się do życia i jest dla nas taka, jaka bywała dawniej. Może nie zupełnie jeszcze. Lecz czuję, że z dnia na dzień jest nam bliższą. Czasem wierzę jej słowom: mówi, że taka jest, ponieważ wie, że już wkrótce umrze i że podtrzymuje ją ta właśnie nadzieja. Lecz czasem znów zdaje mi się, że to wszystko zmierza ku czemuś innemu i że ona z trwogą i zdziwieniem czuje to, ale wierzyć sobie nie chce.

Zresztą, nie wiem. Wiem tylko, że opuściła mnie dawna rozpacz. Żyje bowiem teraz pod wolą losu, mego losu, który — jakkolwiek będzie — wiem, że nie wniesie nic brzydkiego ani w jej, ani w moje życie. A tegom się obawiał.

19 lutego.

Dłużej już tego nie przetrzymam. Rozpacz mnie zażera — czarna, czarna rozpacz. Wpadam w szal na widok odbicia własnej twarzy w lustrze. Ale żona moja zaczyna to już trochę miarkować — i to jest dobrze.

26 marca.

Czekam i wyglądam tylko końca zimy, byle prędzej się stąd wynieść. Owładnęła mną dziwna apatia i czasem lękam się, czy zima ta nie złamała mnie. A lato pewnie też nic dobrego nie przyniesie. Sprowadziliśmy się do Sztokholmu w nadziei, że, choć wolno, odżyjemy trochę. Ale tak... Byłoby lepiej, gdybyśmy byli zostali na wsi, w samotności, która widać

dla nas jest jeszcze najlepsza. Tu bardziej jest samotno, niż tam. To w trosce człowiek tak dziczeje.

31 maja.

Dziś jest rocznica naszego ślubu. „Im wunder-schönen Monat Mai“. Wiem, że to dzieciństwo, ale muszę dziś właśnie zanotować tu parę słów. Dziś bowiem upływa czternasty rok naszego małżeństwa, a z nich ostatni był najcięższy. Trzynasty rok, rok nieszczęścia *par préférence*. Wydaje mi się, że teraz oto ktoś albo coś wyrówna, wygładzi naszą drogę... A wydaje mi się tak, ponieważ przypomniała mi się cyfra, na którą w normalnych warunkach z pewnością nie zwróciłbym nawet uwagi.

25 czerwca.

Dnie mijają, a wałęsam się beczynn timer, powtarzając sobie tylko, że należałoby się zabrać do roboty. Lecz motyle poezji zbiegają niechętnie do miejsc pustych i spalonych; jeśli zaś sfruną, sfruną niespokojnym lotem. Czasem marzy mi się, że wleciałbym z nimi: wspomnę rzeczywistość i zapadam w mrok.

Gdyby przynajmniej żona nie po mnie nie miarkowała! Żeby przynajmniej umiał być równym i wesołym, lub żeby umiał udawać wesołość! Ale nie umiem i wiem, że zamartwia się nie tylko sobą, lecz i bólem, jaki mi zadaje. Straszne to być musi: żyć tak i myśleć o śmierci, wierzyć, że przyjdzie, czekać; a śmierć nie przychodzi. I straszne musi to być: człowiekowi najbardziej ukochanemu sprawiać nieopisany ból i nie móc nic uczynić, aby mu ulżyć.

Czasem, gdy przypuszcza, że nie widzę, siedzi i wpatruje się we mnie; wtedy na twarz jej wypływa wyraz, który rozdziera mi duszę.

Wczoraj przyszła, siadła koło mnie i położyła rękę na mojej ręce.

— Gdyby mnie nie było — rzekła — o ile byłbyś szczęśliwszy!

Wiem, że wierzy w prawdę swoich słów. Odpowiedz moja mogła na chwilę zachwiać jej wiarę, mogła rozświecić jej oczy promykiem nadziei, lecz nie mogła tchnąć w nią przekonania, jakoby była niezbędną i żyć przeto musiała.

C DN

3)

FELIKS BRODOWSKI.

TOMASZ SITOK.

V.

Mieszkał Sitok w suterynie.

Gdy mu przekładano, iż podda-sze jest zdrowsze, odpowiadał:

— A schody? A moje nogi? Kalika—nieszczęście...

Gdy szło o wytłumaczenie pobudek jego czynności, miał zawsze na ustach stereotypowe: „Kalika—nieszczęście.“

— Czemu Sitok pija tyle wódki?

— Kalika—nieszczęście! Wiatr—śnieg—żeby nie zmarznąć, trzeba—trzeba...

Co do trudności wchodzenia na schody—mało kto wiedział, iż przyjaciółka jego mieszka na czwartym piętrze, a Sitok odwiedza ją niemal codziennie.

Wybierał sobie suteryny, bo je lubił.

Lubił te długie, sklepione, ciemne korytarze piwniczne, w których stapa się po omacku, wiodąc dłonią po zimnym, opleśniałym i chropawym murze.

Zapuszczając się w nie, smakował ciemność i z zadowoleniem, jak lis węszący u otworu swej nor-y, wciągał nosem ciężki zapach wilgoci.

Wieczorem, gdy powracał do domu, ulegał, znalazłszy się w swojej sieni, zwykle jednej i tej samej pokusie. Zatrzymywał się przy lampce, wpatrywał się chwilę w czerwone światło, które słabo wal-

czyło z zatapiającą je czernią korytarza; nasłuchiwał—wreszcie gasił lampkę.

I zaraz rozpoczynały się jego głośne utyskiwania.

— Patrzcie, litościwe—otóż znów lampka się nie pali. I jakże ja trafię kalika—nieszczęście. A zawsze mówię—powiesić lampkę wyżej, gdzie wiatr nie dmucha.

Słyszano go w suterynach. Ludzie, nie dbając czy słowa ich dojdą uszu Sitoka, mówili:

— Kulas wraca i lampka, jak zwykle, zgasała mu przed nosem. Teraz do reszty połamie suche patyki, które nazywa swemi nogami.

A on się śmiał wewnętrznym, cichym, pełnym natrząsania się z ludzi śmiechem.

— Nie, nie, ja patyków nie połamię, ale z was niejeden guza sobie nabije. Oto namacałem szaflik tej śmierzdzącej baby, tej żydowskiej praczki, która nijak mi na imię natrafić nie może—tylko kulas i kulas. Namacałem szaflik—dobrze, bardzo dobrze.

Przesuwał szaflik na sam srodek przejścia. Pierwszy, kto teraz będzie szedł, musi się potknąć i przewrócić, a wskutku tego nawymyślać właściciela zapomnianego sprzętu.

Idąc, czynił dziesięć razy więcej hałasu, niż to było konieczne. Suwał i stukał nogami, chrząkał, wzdychał, gadał sam do siebie, a skówka jego laski przeraźliwie zgrzytała po murze; usiłował wpoić w sąsiadów przekonanie, że musi namacywać drogę i posuwać się z największą trudnością.

Szło mu zaś o to, by mieć czas przez szpary, dziurki od klucza i małe w drzwiach szybki podgląd-

dać czynności ludzkie. Ciemność, zalegająca korytarz, bardzo ułatwiała to wypatrywanie, któremu oddawał się z lubością.

Podobnie, jak mrok, smakował nędzę.

Lubił ją.

Węch upewniał go, że z nieprzewietrzanego korytarza nie ulotnił się odór pleśni. Chciał jeszcze, by oczy upewniły go, że z lochów, zamieszkałych przez ludzi, nie uszła nędza. Czuł potrzebę naocznego i codziennego przekonywania się, iż ci ludzie żyją stokroć gorzej od niego. Uważał to za dobre i słuszne; w duchu kopał wszelką biedę i biedaków, tryumfując jednocześnie z swej umiejętności pokonywania losu.

— Oto ja, kalika—nieszczęście, daję sobie radę, a ta zdrowa hola piszczy z głodu. Bardzo dobrze.

— Co oni dziś żrą na wieczór?—to pytanie najbardziej go zajmowało.

Z głośnym chrząkaniem, udając, że idzie a właściwie drepcząc w miejscu, obserwował wnętrze mieszkania swej nieprzyjaciółki, praczki.

— Podła baba zasmradza mydłami cały dom. Aha, zgadłem—dzieci dostaną same kartofle z solą. Świńska kolacja a to samo pewnie było i na obiad. Bardzo dobrze — nie trzeba, żeby się tuczyły.

Sprawdzał następnie, że robotnik, zajmujący się do kopania ziemi przy budowie kanałów, spożywa tylko czarny chleb. W izbie ani śladu ognia na kominie, pod którym w kucki na podłodze siedzi jego kobieta, dająca chudą,

zczerniałą pierś dziecku. To samo widzi się co wieczór.

W ten sposób kontrolował mieszkalców suteryn, polując przytym skwapliwie na jakiś drastyczny szczegół, na widok kobiety rozbierającej się i kładącej do łóżka, lub uścisk młodego małżeństwa, niepodjętą wającego szpiega za drzwiami.

Uciechę stanowiły dla niego odgłosy kłótni, wymysłów, bójk małżeńskich, płaczu i wrzasku dzieci bitych, lub bijących się ze sobą. Musiał zawsze dotrzeć przyczyny tego wszystkiego; znał wszystkich doskonale, wiedział, które pary są istotnie zaślubione, które żyją na wiare.

A wszystkich w ogóle podejrzewał o występki, którym chciał przeciwstawić swoją cnotliwość, umiejacą obywać się bez środków, zbyt potępianych. W mężczyznach wietrzył złodziei (nie był to zemsta za „głodną wieś“?), o kobietach był zdania, że muszą sobie ukradkiem dopomagać, frymarząc cnotą. Obiecywał sobie, że wreszcie wypatrzy którą z nich, gdy w nieobecności męża wpuszcza do siebie obcego mężczyznę.

V.

Ludzie, u których Sitok decydował się zamieszkać, musieli ściśle odpowiadać jego wymaganiom.

Szło mu o trzy rzeczy. Żeby nie mieszkać z oddającymi się żebraninie, gdyż kolegów swoich nie cierpiał. Żeby jednak mieszkać z biedakami, z nędzą i to taką, którą raby się korzyła przed nim. Żeby ta nędza nie ważyła się go okraść.

Dobierał sobie otoczenie, od którego mógłby się spodziewać pewnej czołobitności. Lubił chwytac pożądliwe spojrzenia głodnych, skrycie lecz uważnie obserwujących każdy kasek, który on wyładowywał z swej torby; lubił zwłaszcza pokorę małych dzieci wpólnagich, wychudzonych, które otaczały go wieńcem i nie śmiać o nie prosić ssaly swe paluszki w beznamiętnym, żalonym osłupieniu.

Wyładowywanie torby trwało długo, odbywało się powoli i z namaszczeniem. Sitok po sto razy oglądał każdy ogryzek, badał wartość tych resztek, stanowiących zapasy jego na kolację, śniadanie i na wypadek, gdyby jutrzejszy dzień miał nie dopisać.

Upewniwszy się, że apetyt jego nie poniesie uszczerbku, wyszukiwał dla dzieci czerstwą bułkę, czasem udzielał im kość, niezupełnie ogryzioną, lub kawałek mięsa, jeśli wywąchawszy je wpraw sumien-

nie, przekonał się iż cuchnie. Wzdychał, dając, i natychmiast nadstawiał swą kościstą rękę do ucałowania.

Dobrze sondował dusze ludzi, u których miał mieszkać. Ponieważ zdarzało się, iż wieczorami wracał zupełnie pijany, mogąc zaledwie do wlec się do łóżka — chciał więc mieć pewność, że nikt nie ośmieli się wtedy sprawdzać zawartości jego woreczka. I z biegiem czasu jego zmysł psychologiczny wyćwiczył się, wskazując mu nieomylnie, komu może zaufać. Przenikał na wskroś biedaków, ofiary losu wpłataną w najgorszą matnię nędzy, ale niezdolne lub nie mogące się odważyć na występki.

Trafił przed rokiem na ex-polska, wdowca obarczonego dwoma córkami.

Człowiek ten kiedyś o losie podsunęta potknął się przeszkodę.

Trudno dojść, czy istotnie uległ pokusie, czy okoliczności go oskarżyły, czy — jak twierdzi — zgubił rzecz jemu powierzona, dość iż wypadek ten odjął mu prawo pełnienia służby posłańca.

Odtąd nie tylko że żył w nędzy, ale jeszcze w jakiejś chorobliwej, nieustannie trapiącej go obawie, by nie ulec posądzeniu o złodziejstwo. Wyrzekł się wszelkiego zajęcia, któreby najmniejszą do takich posądzeń nastroczało sposobność. Był jakiś czas roznosiicielem pism, ale i ten zawód stał się dlań dręczącym z powodu, iż wprowadzał go do mieszkań ludzi zamożnych. Ostatecznie nabył pudełko, trochę papierosów i sprzedawał je na ulicy.

Od córek, pomimo że jedna ośmnaście, druga szesnaście lat liczyła, żadnej nie miał pomocy.

Starsza była ładną, szczupłą dziewczyną o regularnych, drobnych rysach, pozbawionych zupełnie cech wesołości i swobody dziewczęcej, o oczach wodzących spojrzeniem beznamiętnym, lub zapalającym się złą, zuchwałą śmiałością. Skończona próżniaczka. Ojciec nie umiał jej chować; drżał by nie poszła na złą drogę, nie dawał jej iść do służby w obawie stracenia jej z oczu, a nie rozumiał, iż zepsucie wsiąka w nią z jakichś niewidzialnych źródeł, zapada do jej duszy w sposób nieodgadniony, że ono jest w kurzu, unoszącym się na trotuarach, w wyziewach rynsztoków i suteryn, w słowach rzucanych przelotem przez beczelnych wyrostków, którzy całymi gromadami wystawają po bramach domów w tej nędznej dzielnicy, gdzie on mieszka z swymi córkami.

Młodsza jeszcze o wiele, urodą przewyższała starszą. Mowa naturalnie o twarzy, bo ta dziewczyna była kaleką niezdolną utrzymać się na swych nogach, uschniętych do kolan i wyglądających, jak piszczelki obciążone skórą. Nie chodziła, tylko czołgała się, albo kucnąwszy i oburącz swe zgięte kolana obejmując, posuwała się w sposób, przypominający nieco skoki żaby.

Żalotne wtedy, rozkrwawiające serce sprawiała wrażenie, ale sąsiedzi, oswojeni z jej widokiem, nazywali ją tylko małą ropuchą.

Gdybyż przynajmniej była brzydką, lecz jakby dla uczynienia tym zjadliwszym szyderstwa losu, ciało jej do połowy rozwinęło się prawidłowo; nie brak było dziewczęcego wdzięku jej kształtnej, dość pełnej piersi, a główkę miała bardzo ładną, oczy wielkie i daleko bardziej uduchowione, niż u siostry.

— Staśka, może ty jesteś jaka zaczarowana królewna? — pytali ją łobuzy.

— Może jak ciebie ktoś taki jeden pocałuje, to czary odejdą i ty pójdiesz do tańca na zdrowych nogach.

Całował ją kto chciał, póki była młodszą i głupiuchną. Gdy tylko wypelzała na podwórze, lub gdy zoczono ją w bramie, pierwszy lepszy chłopak podbiegał do niej z tyłu, chwytając za szyję, przeginał głowę i całował w same usta. A miała blade, lecz słodkie i milutkie usteczka biednej, małej królewny, uciskanej przez czarodzieja, który, zawziawszy się na nią, zrobił z niej w połowie jakąś poczwara i skazał na życie w lochu pośród nędzarzy.

DN



Ziarna i Plevy.

JÓZEF RUFFER. Postanie do dusz.
Lwów, 1903.

„Niech będzie pochwalona piękność, dobroć, duma i moc duszy człowieczej“ — oto dewiza książki Ruffera, treścią zaś jej, istotnym i zasadniczym pierwiastkiem — młodość, sił żywotnych pełna, cierpienie i ból jeszcze nieświadoma, uczuciem bogata, kochająca życie i czyn, który dla niej życia jest treścią. Po raz pierwszy może w sztuce dzisiejszej młodość przemawia do nas w ten sposób. Zazwyczaj ma ona w sobie jad przedwczesnej melancholji, niemocą pętający lot jej skrzydeł, jej oblicze duchowe jest jako zestarzała, zwiędła twarz dziecka, któremu otwarto oczy na ohy-

dę życia zbyt wcześnie... „Dziś pierwsze nasze myśli są zwątpieniem, nudą, szyderstwem, krytyką, przeczcuciem“ (K. Tetmajer). Czasem — widzimy to u Staffa — budzi się poczucie tej niemocy, upadku bez walki, — wtedy młodość ta stara się przezwyciężyć melancholję, „snami o potęgę“ rozplomić swą duszę, okuć ją w pancerz, który „tylko słońca skrom otworem stoi“, by wreszcie ukojenie znaleźć w marzeniu.

Zależność Ruffera od Staffa jest zewnętrzną raczej, niż wynikającą z wewnętrznego pokrewieństwa: wyraża się jedynie w podobieństwie poszczególnych pomysłów. Ruffer dalekim jest od zamknięcia się w dumnym poczuciu mocy, dla której „ujścia niema w czynie“, nie posiada również wizjonerskiego odczuwania życia, które pozwala tamtemu stworzyć własny swój świat, bardziej dlań od rzeczywistości realny. Jego siła życiowa dąży bezpośrednio do wyrażenia się w czynie, kontemplacja nie jest mu sama w sobie celem, lecz źródłem, skąd czerpać będzie siłę wytrwania. (Morze).

Lecz najjaśniej i — dodajmy — najpiękniej wypowiada się tam, gdzie najbardziej jest osobistym. Czujemy bowiem, że pogląd jego na życie nie powstał z doświadczeń przeszłości, nie został, jednym słowem, przeżyty, lecz jest wyrazem raczej marzeń o życiu, wynika z temperamentu autora. Utwory o charakterze egzotycznym ukazują nam dopiero i tłumaczą tę młodą, jasną duszę, w której, jak w pryzmacie, wrażenia przełamują się w czarowną tęczę marzenia. I marzenie to nie jest ucieczką od rzeczywistości, lecz jej spotęgowaniem. Bo choć okwita i umiera „wiśniowy sad“, źródło życia i wesela, wspomnienie o nim krzepi poetę w dalszej drodze.

„Albowiem-ci godzien jest sad nasz, by żalować się nasza zaparła — Swych tęsknić, a bujne wesele by kwitło nam z jego mogiły — By w młodych nam duszach zmarłych wstał jasnością i dumą opity! — Wszak oto w mogile tej, druha, olbrzymaśmy grzebili, nie karła!“

Ta pierwsza książka młodego autora zapowiedzią jest dopiero, nie spełnieniem; lecz zapowiedzią, budzącą nadzieję, że duch ten młody wzrośnie w kształt potężny, posiadzie moc słowa, które „wieszcją słodką w dusze ludzkie spłynie.“ Dziś czytamy jego książkę tak, jak patrzymy w jasne oczy dziecka, by wyczytać z nich zarodki myśli, które kiedyś stać się mają treścią jego duszy. Jan Dąbrowski.

NOTATKI LITERACKIE.

Istnieją podobno trzy rodzaje dowcipu: przy pierwszym opowiadający nie śmieje się, śmieje się natomiast audytorjum; drugi rodzaj objawia się śmiechem opowiadającego i słuchaczy; trzeci, pod każdym względem ostatni, jest już tylko śmiechem opowiadającego, śmiechem, za który dowcipniś, zanim się spostrzeże, znajduje się za drzwiami.

Nieznany autor pamfletu p. t. „Czyściec Słowackiego“ uosabia ostatni właśnie rodzaj dowcipu. Brutalny, trywialny, gruboskórny ten śmiech nie zbudzi żadnego wtóru. Na czterdziestu kartkach „poematu“ śmieje się do rozpuku, nogi rozkraczywszy, najordynarniejszy z wierszokletów, a już przy pierwszej stronie niewidzialne ręce sprawiedliwości estetycznej wyrzucają go za nawias literatury.

Że ten dziwnego nabożeństwa „wieszcz“ nie wyjawiał śmiertelnym swego nazwiska, cieszymy się; że świstek swój drukował w Wiedniu „nakładem Mauza“ — cieszymy się; jeśli nie musimy, możemy sobie bowiem wytłumaczyć, że i najgłupszemu cynizmowi wyznacza granice pewien wrodzony człowiekowi wstyd.

Anonimowi spać nie dały laury Wyspiańskiego. Piszę tedy, — o, kłatwo powszechnej nauki, o, święty, analfabetyzmie! — pisze «realistyczno-fantastyczny, satyryczno-symboliczny, dźwiękowo-kolorystyczny, marmurowo-eteryczny, pastelowo — monumentalny, miniaturowo-kolosalny, humorystyczno-tragiczny, opisowo-dramatyczny, śliczny», — i *idjotyczny*, — tego epitetu w tytule brak, — «poemat modernistyczny». Poemat przedstawia czyszcówce męki Juliusza Słowackiego, skazanego na odczytywanie dzieł Wyspiańskiego. Składają mu z tej sposobności kondolencyjne wizyty Krasiński i Mickiewicz i gdy Słowacki skarży się, że «kilka dźwięków z moich arf porwał jakiś wiatr złośliwy, rzucił gdzieś na szczere piaski... a z dźwięków zostały wrzaski, lub zostały z dźwięków piski...», Mickiewicz kaje się za swoje błędy. «Ja gorzej od ciebie zbłądziłem» — powiada — «tutaj się długo błogą nadzieją ludziłem, że «z mego przewinienia», «złego przykładu!» (!) nie zostało na świecie skutku ani śladu. A patrz, dziś, jakieś Elsy i jakieś Elsice, jakieś eleuzyjskie święcą tajemnice...» Poczym wszyscy trzej już biorą się do «Legionu», którego poprawne wydanie sporządził dla czyśca anonim. Rozmowa, jaka się stąd wywiązuje między trzema wieszczami, wystarczy sama jedna dla poznania całej psychicznej trywialności operetkowego estetyka. Mickiewicz mówi:

Słuchaj, Zygmunt! ty mnie dobrze
[znałeś]

Czy co (!) takiego odemnie słyszałeś?

Na co — Krasiński:

Nigdy, jak Bóg na niebie
Przysięgnę zaraz za ciebie.

I Słowacki protest podnosi «pod same niebiosa, że to do was podobne tak jak pięść do nosa». I jeszcze taki duecik:

Mickiewicz: Dalibóg, ja nie nie chwy tam, ale ich językiem pytam, czego oni od nas chcem?

Krasiński: Oni chyba z ludzi kpiom.

Istny jarmark powstaje w czyścu z powodu «Wyzwolenia». Telefonicznie dochodzi do czyśca wieść, że na ziemi uczczono *l'altissimo*. Dante przepędza karczemny chór Erynnij, jakby z «Wyzwolenia» zapożyczonych, i obiecuje przemówić u Boga słowo za udręczonym Słowackim. Jakoż zjawia się anioł i oto co zwiastuje:

...Przeczytałeś «Wesele» i innych rzeczy
[wiele,

a nigdy ani najmniejszej skargi
nie wydały twe wargi...

Z tekstu wypada, że anioł mówi nieprawdę.

A kiedy «Wyzwolenie», najejgęsze udrę-
[czenie

od deski przeczytałeś do deski,
wtedy ojciec niebieski tak rzekł do nas
[aniółów:

I proszę zwrócić uwagę na ten *clou*
poematu:

«Leć tam do czyśca który
Sprowadź go tu na góry
Spełnione win zadośćuczynienie
Skończone jego cierpienie
To jego Wyzwolenie».

Na co Słowacki, Krasiński i Mickiewicz
odpowiadają razem:

Niech będzie Panu Bogu chwała,

Że się na coś ta *chryjja* (!) przydała.

Istotnie nastrój to podniebny. Anonimowy reformator nowoczesnych form poetyckich sięgał widocznie po kształt dla swoich poetyckich wizji do skarbcza szkoły powszechnie «kalwaryjską» zwanej. Jakkolwiek niewiadomo jeszcze, czy autor popularnej dziadowskiej pieśni «Dawniej królowa w dziadu się kochała» pokumałby się z tym o to bratem po lirze. Pewne natomiast jest, że, o ile podobne głosy idą w niebiosa, splugawiony przez anonima trjumwirat wielkich duchów zawoła wraz z śmiertelnymi: Boże, broń mnie od przyjaciół, bo od nieprzyjaciół sam się ochronię!

No, i niechby się anonim o sprawy, które nie są z jego świata, nie troskał. Już się tam Mickiewicz, Słowacki, Krasiński i Wyspiański pogodzą ze sobą; słońca motyką nikt jeszcze nie zwałił — a zdarzyć się może, że słowami tegoż Wyspiańskiego nad trywialną duszą dopełni się kłątwa: «Upiorów i harpij stada ręce ci pokładają na czoło, ręce ci pokładają na serce... w groby, na piekła powalają». W groby — zapomnienia, na piekła — samopogardy. Boć chyba i na pamfleciściów schodzą jasnowidzenia.

W «Weselu» powiedziano jest: «Trza, żeby święte były...» I będą — mimo to, że błazeńskie usta nadużywają wielkich imion.

g.



FELJETON.

Nad świeżą mogiłą...

...Choć habit, jakto mówią, nie
[stanowi mnicha,
Jam przecież nie tak ciałem,
[jak duszą w habicie.
Bez włosienicy twardym zako-
[nem mi życie
I bez klauzury świat mój niby
[cela cicha.
Adam Pług.

....Zmarł mąż niepospolicie do-
brej woli i kochającego serca —
czysty asceta, który żył dla in-
nych i w imię innych. Wszystkie
uczucia jego rozplynęły się w jed-
nym ogromnym umiłowaniu zbioro-
wości, do której należał, wszyst-
kie jego siły szły na jedną nie-
przerwaną pracę na niwie społecz-
nej. „Jam kmieć ubogi, pług
mój drewniany, ale do pracy o-
choć szczerą. I kiedy włożyć się
w pole wybiera, i ja z innemi cią-
gnę na łany” — pisał o sobie stary
siłacz. Niezupełnie jednak tak by-
ło. Stary Pług bowiem zawsze
był w polu, nawet gdy włożyć drze-
mała i bynajmniej nie był kmie-
ciem ubogim, bo ubogim nie godzi
się nazywać człowieka, tak szczo-
drze uposażonego w szczerolote
skarby uczucia. Był zawsze w po-
lu, a w pługu jego szła święta pa-
ra — Miłość z Nadzieją, i zawsze
przy lemieszu obok oracza stała
Wiara.

Nasze pokolenie, które dojrzewa-
ło duchowo około r. 1880, nie po-
trzebowoło godzić się ze starym
weteranem, bo nigdy z nim się nie
kłóciło. Pamiętaliśmy, iż znajduje
się przed nami dawny szermierz
praw ludu wiejskiego z epoki przed
uwłaszczeniem, na którego sypały
się wówczas liczne gromy za jego
„demagogję”:

...Czy ubodzy czy bogaci,
Czy ze szlachty, czy to z kmieci,
Znajmy jedni w drugich braci,
Bośmy wszyscy Boże dzieci!

Nie zapomnieliśmy staremu Płu-
gowi i tego, iż w epoce, kiedy ja-
ko bohaterów wskazywano nam in-
żynierów i różnego znaku robigro-

szów, zacnej pamięci pracownik
pióra ukochał najmitów: bakałarzy
i oficjalistów.

Wreszcie i nam wypadło stanąć
na tej samej skibie przy pługu.
Spotkaliśmy tam czcigodnego star-
ca. Dzieliły nas przekonania i po-
glądy, dzieliło doświadczenie paru
dziesiątków lat. Wiedzieliśmy do-
brze, iż nie zawsze rozumie nas
Adam Pług. Ale każdy dzień u-
czył nas cenić to dzielne serce,
brać przykład pracy i ofiarności ze
starego siłacza i z szacunkiem po-
chyłać przed nim swą głowę.

Dzieliły nas bowiem myśli, ale
jednoczyło serce.

....Dzisiaj zasłużony starzec spo-
czął w mogile. A nad jego mogi-
łą, tak samo jak za życia, pochy-
lamy ze czcią swe głowy i odda-
jemy mu hołd należny.

L. K.



POWAŻNA SPRAWA.

(W sprawie „uświadamiania“ dzieci i mło-
dzieży).

(Dokończenie).

III.

Dzisiaj, kiedy od mężczyzny żą-
damy takich samych co od kobiety
ofiary i obowiązków, a w stosunku
do kobiety otwieramy jej swobo-
dę szczerego wypowiedzenia się
ze swych wzruszeń uczuciowych, —
bardziej niż kiedykolwiek niewolno
lekceważyć praw rozwoju osobni-
czego młodzieży. Hodować należy
pierwiastki czystości, subtelnie przy-
słuchiwać się wskazówkom natury
ludzkiej i pączków przed czasem
sztucznie nie otwierać. Wprawdzie
pojedyncze przykłady niewiele zna-
czą, ale rzucają przecież światło
na kwestję.

Oto piętnastoletnia dziewczyna
starannie wychowana, nieświadoma
na skutek atmosfery domowej i
zdrowia moralnego, wstępuje do
piątej klasy na pensji. Natrafia śród
zastępu koleżanek na jednostki zde-
prawowane o tyle, że lubują się w
półświadomym drażnieniu nerwów,
które idzie zwykle w parze z ta-
jemniczymi zwierzeniami z dziedzi-
ny zakazanego owocu. Nowiejusz-
ka, po bliższym zetknięciu się z
niemi, odwraca się od tych towa-
rzyszek i zwierza się matce: „Spot-

kałam w szkole antypatyczne dziew-
czyny, mówiły mi o rzeczach, o
których z mamą nigdy nie rozma-
wiałam. Spojrzałam na nie z ta-
kim oburzeniem, tak się zaczerwie-
niłam z gniewu i wstydu, że za-
milkły i odeszły.”

Oto jedenastoletni chłopiec, czy-
sty i nieświadomy. Zostaje on przez
kolegów w drugiej klasie informo-
wany w sposób brutalny. Milczy,
ojcu nie śmiejąc się zwierzyć z
wątpliwości swoich. W kilka lat
później, gdy zmienił się stosunek
jego do ojca, opowiedział mu, jak
bolesne były dla niego te pierwsze
informacje; żal miał nawet do oj-
ca, że nie był do nich przez rodzi-
ców przygotowany. Jednak moral-
na siła zwyciężyła cyniczne żarty
i złe wpływy. Chłopiec jest wzor-
em postępowania i poważnej my-
śli.

Uświadamianie posiada w każdym
razie doniosłość dodatnią przy sta-
rannym wychowaniu o tyle, o ile
zaoszczędzić chcemy młodzieży in-
formacji brutalnych, otrzymywa-
nych najczęściej w sali szkolnej, co
właśnie stanowi najboleśniejszą stro-
nę szkoły społecznej.

Może spotka mnie zarzut, że nie
każde dziecko, w czystości myśli
chowane, zarówno jest na złe wpły-
wy odporne. Niejedno ulegnie i w
tajemnicy będzie im hołdowało. Te-
mu zapobiec może jedynie miłość po-
łączona z wielkim do rodziców zaufa-
niem. Każdy drobiazg w wychowaniu
zmierzać powinien do wyrobienia
tego idealnego stosunku dziecka do
rodziców, w którym niema tajem-
nic pomiędzy jednym a drugim.
Przy takim stosunku, gdy dziecko
zwerzy się matce ze swych wą-
tpliwości, ta odpowiednio do wieku
i stopnia rozwoju udzieli odpo-
wiedzi jaknajkrótszej, zwróci uwa-
gę, że rozmowy tego rodzaju szkod-
liwe są obecnie dla zdrowia, i za-
pewni, że w niedalekiej przyszło-
ści fizjologja da mu wyczerpujące
objaśnienie w tym względzie.

Jeśli kto przypuszcza, że dziew-
czynkę lub chłopca, zostawionego
dotychczas bez kierunku, ustrzeże
od złego, dając świadomość zawi-
łego i denerwującego mechanizmu
odpowiednich procesów fizjologicz-
nych, ten błądzi mocno. Dziecko
z erotycznym zabarwieniem wy-
obraźni, z historycznymi skłonno-
ściami, wywołanymi przez niewła-
ściwe wychowanie, po uświadomie-
niu przez matkę z pewnością nie
poprzestanie na tak ograniczonej
wiedzy i dopełniać jej będzie z innych
źródeł. Nie znaczy to wcale, iżby
młodzież dojrzewając psychicznie i
fizycznie nie miała zaznajać się

z wzmacniającą i cudowną siłą miłości, lub żeby usuwać przed nią arcydzieła prawdziwej sztuki, wiecznie czystej i uszlachetniającej, bo przepatującej najwznioślejszą część ducha artysty w zjawiska czarujące innych ludzi. W tym królestwie nie będzie nigdy nic niezdrowego. Nie znaczy to także, żeby dorastające dziewczę wysłać z domu podczas połogu matki lub siostry.

Rdzeń złego nie tkwi zgola w późnym uświadamianiu młodzieży, jak się to zwolennikom odpowiedniego kierunku wydaje. Podają oni lekarstwo zbyt powierzchowne a bardzo obosieczne w rękach nieumiejętnych. Fakty gołe wysuszają umysł małych pozytywistów. Czyż koniecznie trzeba tak nieubłaganie plenić w młodej jednostce skłonność do marzeń? Przychodzi czas, że trzeba dziecko uzbroić do walki z życiem. Ale póki choć jeden nerw niewiadomości w nim pulsuje, choć jedna strona naiwności dziecięcej w jego duszy dźwięczy, zostawić należy je szczęśliwym, czystym i nieświadomym. Nadwyższenie tej świętości to czyn zawsze brutalny.

Matka, która potrafi umiejętnie i we właściwym czasie dziecko swe z tej świętości wyprowadzić, jest mistrzynią w sztuce wychowania. Dziecię jej będzie czyste i zabezpieczone od zgubnych wpływów złego towarzystwa. Ta zaś, która wpływem swoim nie zdoła pokierować dzieci na drogę dobrze zrozumianej moralności, ta i z pomocą uświadamienia rady sobie nie da. Wśród ludu dzieci od pierwszych lat życia poznają rzeczywistość we wszystkich jej przebiegach i obrazach. Bezpośrednio a poglądowo odbywa się uświadamienie, gdy w tej samej izbie mieszczą się dzieci, rodzice i sublokatorzy. A czyż ta poglądowość działa tak, jak winno działać szczerzenie ochronne? Jednostki zdrowe moralnie, przy pewnym moralnym a zarazem praktycznym wpływie ze strony matki, przy pewnym panującym w rodzinie zdrowiu duchowym, zachowują czystość uczuć i myśli. Pierwsze lata mają wpływ ogromny na życie całe. Czyste, wielkie dzieciństwo zaopatruje dziecko w kapitał optymizmu, który pozwoli zwycięsko odeprzeć przeciwności życia. Nie wolno bez zastanowienia niszczyć dni słonecznych wiary, pogody i czystej weselości, która w zabawie nie odróżnia chłopca od dziewczyny.

Zwolennik faktów pozytywnych powie, że pielegnowanie optymizmu i skłonności do marzeń narazi w przyszłości dziecko na okrutne

niespodzianki losu. Jednak nie głodem i przepracowaniem dobry wódz przygotowywa żołnierzy do forsownych marszów i trudów wojennych. W czasach pokoju dba on o wygodę i dobre pożywienie a podczas walk i wysiłków siła niewyczerpana dokonywa cudów.

Wiele jest do zreformowania w wychowaniu naszych dzieci. Ale choć smutną jest ta prawda, wyznajmy, że reformę rozpocząć winniśmy od nas samych — rodziców. W nas, w ojcach i matkach wiele należy przekształcić, abyśmy zdołali naprawdę świecić wzorem oraz umieli i chcieli stworzyć atmosferę prawdziwej, wszechludzkiej idei dobra, prawdy, czystych, pięknych uczuć i wielkiej miłości dla ludzi. Tylko w takiej atmosferze mają wartość i cel jakieś próby reformy wychowawczej, które w rękach niepowołanych mogą wydać skutki fatalne. Zamiast rozpowszechniania wśród ogółu idei uświadamiania dzieci, za ważniejsze poczytując podnoszenie i wzmacnianie takiego wychowania, które hartowałoby młode umysły i wrażliwe wyobraźnię na oddziaływanie ujemne. Lekarz-psycholog doradza w tym celu życie higieniczne pod względem fizycznym, wzmacnianie racjonalne nerwów i mięśni, potęgowanie pod każdym względem odporności fizycznej, a także higienę duszy. Higiena ta polega na odsuwaniu książek, obrazów, scen i rozmów podniecających zmysły i wyobraźnię w kierunku erotycznym. Natomiast praca bądź fizyczna, bądź umysłowa, rozwijająca myśl i uczucie, szczerzenie miłości dla piękna w naturze i społeczeństwa dla cierpień ludzkich, budzenie instynktów społecznych i zmysłu estetycznego, oto droga, prowadząca umiejętnie do stworzenia wyższego typu ludzi, który przyswieca naszym zabiegom wychowawczym. „A że ulica, izba szkolna, zniwelowane otoczenie koleżeńskie i cała atmosfera wielkiego miasta, przepojona bakteriami nędzy fizycznej i moralnej” roztaczać będą swój wpływ ujemny, to ze złem walczyć będzie twórcza siła dobrego, która tkwić musi w coraz doskonalszych typach rzeczywistości rodzinnej i społecznej.

Mędrzec, który intuicyjnie, na tyście lat przed nami, głosił prawdy dotąd młode, rzekł:

„Kaźda rzecz ma mieć swoją porę i kaźda czynność swój czas na ziemi.

„Jest czas na rodzenie i czas na umieranie, czas sadzenia i czas zbiorów, czas płaczu i czas śmie-

chu, czas milczenia i czas rozmowy.

„Zrobił on, że wszystkie rzeczy są piękne w swoim czasie i włożył w ich serce świat cały, choć człowiek nie może zrozumieć od końca do końca dzieła bożego“.

S. Wertensteinowa.



ODGŁOSY.

Z nad Szprewy.

Na cmentarzu Weissensee w d. 11 października, odsłonięto pomnik przedwcześnie zmarłego Henryka Forsztetera. Obok nazwiska i imienia wryto na nim skromny napis acz naszym zdaniem zawierający zbyt wiele wyrazy: „w dowód czci i uznania od brata, przyjaciół i rodaków“. Pochowano go tam, gdzie stargał swe siły w pogoni za nauką—bez środków materialnych...

Nasza prasa codzienna z nielicznym wyjątkiem pokryła ongi milczeniem wiadomość o śmierci młodego badacza i wybitnego publicysty. Nie wymagamy od niej również zamieszczania wzmianki o pomniku. Wiemy, iż obecnie, gdy zajmuje się Berlinem, ma do zanotowania sprawy pilniejsze, tj. bardziej sensacyjne. Przed krótkimi znaleźli się nasi *bene nati*, uwikłani w proces o złe urodzenie jednego ze swoich. Naturalnie, kaźde z naszych, szanujących swój honor pism codziennych, posiada tam specjalnych korespondentów, donoszących o tym, co dzieje się w sali sądowej. Prasa niemiecka również śledzi uważnie przebieg tej sprawy sensacyjnej, a przyznajmy się, iż nagłówki, pod jakim np. „Frankfurter Zeitung“ drukuje sprawozdania z posiedzeń sądowych: „walka o majorat“ (czytaj: „walka o grosze“), podobał się nam swoją szczerością. Tak, chodzi tam o grosze. Dla miłego brzęku złota są przed kaźdą skandalu publicznością niemiecką odsłaniane tajemnice domowe, ujawniane środki i środki najbliższego gatunku. Ale cóż robić — my złota chcemy! Łaknie go bardzo hr. Hektor Kwilecki, bodaj jeden z ojców narodu bo był poseł do parlamentu niemieckiego czy sejmu pruskiego. Więc miewał liczne konferencje z detektywami, nie żałował pieniędzy aby rozwiązać świadkom języki—o ile prawdopodobne, tego nie

rozstrzygamy, sam niekiedy w charakterze niezbyt wykwintnym sportsmena nowin udawał się na zwia-
dy, słowem nie zaniedbał ani jed-
nego marnego fortelu, ażeby przed
sądem postawić żonę własnego stry-
ja, chociaż wie, że czeka ją kara
kilku lat bardzo ciężkiego więzie-
nia. Nie wiemy, czy wygra spra-
wę ani kto ma w niej słuszność,
ale nie zawahalibyśmy się nawet
zwycięskiego pana postawić pod
pręgierz, a nad głową umieścić
napis: zwyciężył — ma złoto i...
hańbę!

Bądźmy szczerzy: w dzisiejszej
sytuacji politycznej w Niemczech
hańba różnego imienia Kwileckich
jest hańbą narodową. Hakatyści
są już czynni, ażeby ze skandalicz-
nego procesu zrobić odpowiedni
użytek. Oto charakterystyczny u-
stęp, wyjęty z jednej z korespon-
dencji:

„A dziwny wygląd ma miejsce, zagro-
dzone barjerą i przeznaczone dla publiczno-
ści.

Przeważają kobiety, w stosunku zaś do
nich nikną postacie męskie, wśród których
znów przeważają starzy lowclasi, gładko
przeczescani, niesmacznie elegancy, z aro-
gancją przyglądający się przez monokle, bi-
nokle i lornety przedstawicielom, a zwa-
szcza przedstawicielkom rodowej arystokra-
cji polskiej.

Na wszystkich obliczach maluje się to,
co Niemcy nazywają *Schadenfreude* (ra-
dost z cudzego nieszczęścia). O litość nie py-
tać tych ludzi, choć przecież wiadomo, że
w razie nieprzychylniej opinii sędziów przy-
sięgłych, główną bohaterkę smutnego i, po-
wiedzmy szczerze, wstrętnego dramatu, cze-
ka do 10 lat ciężkiego więzienia.

Sprawozdania, pomieszczane codziennie
w dziennikach berlińskich, przesiąknięte są
taką tendencyjnością, że ława obrończa za-
mierza wnieść protest głośny, wyszukiwa-
nie bowiem samych tylko stron ciemnych
oddziaływać musi niekorzystnie na sędziów
przysięgłych.

I pisma niemieckie wcale nie starają się
nawet ukryć tej tendencyjnej niechęci. Prze-
cież tu chodzi o zohydzenie arystokracji
polskiej, a nawet „Berl. Tageblatt“ wprost
napisał, że dlatego prasa tak szeroko trak-
tuje ten proces kryminalny, iż chce poznać
„das milieu der polnischen Aristokratie“.

Obserwując moich sąsiadów bacznie i wi-
dząc ich zaciętość.

A kobiety z taką uwagą śledzą przebieg
rozpraw, z taką lubością polykają bez za-
rumienienia najdrażliwsze wyznania, takie
ordynarne robią koncepta, że budzą wstręt
swym brakiem odrazy do wszelkiego brudu.

O śmiech wogóle nietrudno w audytor-
jum. Śmiano się nawet z tego, gdy hr. z
Czapskich Ponińska z Kościelca powołała
się na doświadczenie swoje, jako matka
„ośmiorga dzieci“. „Kaninchenfamilie“ —
bąknął ktoś, a dowiec niesmaczny po-
chwyciono w lot i pękano ze śmiechu“.

Pojmujemy doskonale, dlaczego
Polacy berlińscy z wyrobionym po-
czuciem godności narodowej, oświad-
czają: „poniewierają się nasze nazwi-
ska polskie, i dlatego wolę nie
przeglądać pism aż do wydania
wyroku. Wtedy może odetchnę!“
Tak, na razie hańba Kwileckich
jest przed forum berlińskim hańbą
i przegrana dla narodu, dokładniej:
dla tych którzy jeszcze wierzą w
posłannictwo Sreniawitów, Pilawi-
tów, Starychkonii i w ogóle w róż-
ne nazwiska dawnego znaku pan-
cernego. Ci, którzy przed fo-
rum berlińskim nie zawahali się
poświęcić dla złota honoru swego
nazwiska, ci i w parlamencie pru-
skim nie będą lepiej dbali o losy
rodaków.



„Nożownictwo“.

W ostatnich czasach z nadzw-
yczajną szybkością wzrasta liczba
krwawych rozpraw na noże. Czy-
tając o tych wypadkach, skrzętnie
notowanych codziennie przez ga-
zety, spostrzegamy przedewszyst-
kim, że w tej formie upust na-
miętności ludzkich zdarza się tylko
śród warstw nieoświeconych, że w
święta i wigilje świąt bójki na no-
że są najczęstsze, że po za obja-
wem gwałtownych wybuchów gnie-
wu użycie noża jest wynikiem zem-
sty, często wykonywanej na zimno
z premedytacją, nawet nie osobi-
ście, lecz za pomocą ludzi naję-
tych, z których się wytworzył już
zastęp specjalistów, że się zdarzają
zbrodnie tego rodzaju z prostej
tylko brawury, jako sport, jako
wynik zakładu, że wreszcie siłą
naśladownictwa „nożownictwo“ za-
czyna już przechodzić do nieletnich:
coraz częściej do tego rodzaju roz-
praw uciekają się malcy 12—14-
letni, a nawet w przeszłym roku
notowano wypadek zadania w ple-
cy scyzorykiem śmiertelnej rany
jednemu dziecku przez braciśzka
cztero czy pięcioletniego.

Słowem nożownictwo stało się
już objawem pewnego rycerstwa.

Gazety nasze oburzają się na
to, szukają różnych leków a
jednocześnie z drugiej strony pod-
sycają to szczególnego rodzaju
rycerstwo; stworzyły bowiem bar-
dzo poczytne, stałe rubryki, w
których skrzętnie codziennie no-
tują wszystkie czyny bohaterkie
z najdrobniejszymi szczegółami.
Prasa więc nasza mimowoli speł-

nia pod tym względem taką rolę,
jak niektóre *specjalne* dzienniki
francuskie, zachęcające sutenerów
paryskich do różnych czynów „ry-
cerskich“. Ludzie, skłonni do po-
sługiwania się nożem, mają wielką
podniechęć w opisach różnych roz-
praw, a ci, którzy figurują w ru-
brykach wypadków, urastają istot-
nie na bohaterów w oczach swego
środowiska i czerpią stąd bo-
dziec do dalszych czynów. — A to
ci dopiero chwacki, a to go dźgnął!
Aż w Kurjerze pisano! Słyszysz to
bohater, zdziczała, spotworniała du-
sza mu rośnie. Jutro, pojutrze,
przy pierwszej lepszej sposobności
postara się znowu figurować w ga-
zecie, szerzyć będzie postrach wśród
spółzawodników, pozyska towarzy-
szów i uwielbienie kochanki. Za je-
go przykładem pójdzie inny, który
jeszcze ani razu nie użył noża, ani
razu o nim nie pisano. Maksimow
i Doroszewicz, przesuwając przed
oczami czytelnika galerię typów
zbrodniarzy, podają i takich, któ-
rzy dzięki licznym i ciężkim zbro-
dniom stali się największymi bo-
haterami w obec innych skazań-
ców katorgi. Im większa ilość lat
ciężkich robót zawisła na ich bar-
kach, tym większe poszanowanie i
poważanie wzbudzają wśród innych.
Pokrewny nastrój psychiczny pa-
nuje także wśród nożowników i
ich otoczenia, więc podnieca za po-
mocą opisywania ich czynów jest
bezwiednie spółdziałaniem w roz-
woju i potęgowaniu czynów zbrod-
niczych.

Cóż wobec tego są warte róż-
ne środki zaradcze, zalecane przez
prasę? Będą one tak skuteczne,
jak smarowanie raka np. ma-
ścią cynkową. Badajmy przede-
wszystkim tło, na którym choroba
się zagnieżdżyła i rozwinęła, badaj-
my przyczyny, tkwiące w głębi
organizmu a nawet poniekąd ma-
jące początek w pewnym obarcze-
niu dziedzicznym. Oburzamy się
na dzisiejsze nożownictwo i prze-
mujemy się zgrozą, a zapominamy
że w innej formie istniało już
dawniej. Czy kiereszowanie twa-
rzy i głów na sejmikach, porywa-
nie się do szabli przy łada sprzecz-
ce — nie było tym samym nożowni-
ctwem — w innej formie? A dziś w
warstwach oświeconych czy nie
kwitnie „nożownictwo“ dotkliwie,
innego rodzaju, które nie zadaje
ran ciału, lecz kaleczy i zabija mo-
ralnie? Przypomnijmy tylko gwał-
towne rozprawy polemiczne (jeżeli
je można nazwać polemicznymi) w
prasie; przypomnijmy sobie te li-
czne szeregi „rycerzy“ salonowych,
szarpiących dobre imię czystych
ludzi; przypomnijmy opryszków

k którzy szukają dla siebie sławy i aureoli wśród towarzyszy za pomocą zniesławiania kobiet i rzucania na nie hańby, często jednym tylko półsłówkiem, niedomówieniem lub lwia brawurą, przyjacielskim, publicznym zwierzeniem się z tajemnic zmyślonych czy ubarwionych, rzucaniem domysłów bezczeszczących — za co wszystko należałoby się im szubienica, jeżeli nie dosłowna, to moralna! Wszakże to również nożownictwo, może nie mniej szkodliwe, niż tamto brutalne z rozlewem krwi. Na to nie szukamy środków, chociażby dorywczych; nie przeciwdziałamy nawet najślabszymi sposobami!

Jeżeli teraz będziemy badali nożownictwo — dosłowne, to stwierdzimy w nim chorobę społeczną, objaw nienormalnych i niepożądanych warunków, urządzeń bytu i jego rozwoju. Już to jedno, że nożem posługują się tylko ciemne warstwy ludności, najlepiej i najnieomyślniej wskazuje przyczynę tak ciężkiej choroby. Gdyby nie było ciemnoty, nie byłoby nożownictwa. Ztąd prosty i najlogiczniejszy wniosek: zwalczyć klęskę tego rodzaju można tylko za pomocą podniesienia poziomu oświaty i kultury. Zobaczmy, w jakich warunkach moralnych i umysłowych znajdują się te warstwy, w których tak gwałtownie i brutalnie rozwiela się rozprawy nożowe. Dzieci uboższej ludności miejskiej mają jedną szeroką bezpłatną nieograniczoną szkołę: *ulicę*. To jest szkoła i freblowska i początkowa, i średnia. Od niemożliwości prawie dzieci uczą się wszystkiego na ulicy, a więc: znęcania się nad starcami, niedołączania, obłąkanymi i idiotami, drobnej przygodnej kradzieży, bójek, wyuzdania wszelakiego, a nawet niekiedy pijanstwa. W takiej szkole przebywają najliczniejsze rzesze dziecięce. Uczą się nie tylko — slöjdu — sztuki zręczności w bójkach i kradzieżach, ale i lingwistyki. Nabierają wprawy w połączankach, przekleństwach, gwarze złodziejsko-łobuzerskiej. Bardzo często nie lepsza atmosfera panuje w domu, gdzie dzieci bywają także świadkami gwałtownych i krwawych rozpraw, podsycanych alkoholem. To właśnie jest grunt, na którym wyrosło i wybujało tak znacznie nożownictwo.

Jeżeli będziemy występowali w roli sędziów, roztrząsających sam akt przestępstwa, to niewątpliwie znajdziemy jedyny środek ratunku: kodeks karny. Jeżeli wszakże zechcemy wnikać w głąb przyczyny tego dotkliwego zjawiska, to przy-

dziemy do przeświadczenia, że ci zbrodniarze są wynikami i ofiarami ciemnoty moralnej i umysłowej.

Nie poprzestajmy więc na kodeksie karnym, który na razie może odegrać tylko taką rolę, jak lekarski środek znieczulający, ale starajmy się o usunięcie złego do głębi przez rozproszenie mroków, przez rozdanie promieni słonecznych tym, którzy ich nie mają i nie czują. Dopóki nie będzie oświaty dostępnej dla najszerzych i najuboższych warstw, dopóki te warstwy nie będą miały rozbudzonych i zaspokojonych potrzeb duchowych i umysłowych, dopóki nie znajdą takich źródeł orzeźwiających, w których można się skąpać, obmyć się z potu, wywołanego znojem życia powszedniego, oderwać się od brutalnej, codziennej troski życiowej i choć od czasu do czasu wzbąć się na wyżyny duchowe, tam gdzie słońce świeci i grzeje, gdzie mózg wchłania jego promienie a dusza oddycha czystym powietrzem życia intelektualnego, posiadającego jakiegoś ideały, zawieszone wysoko nad nizinami życia, dopóty nie zniknie nożownictwo z powierzchni naszego bytu. Pracujmy nad tym i nie zapominajmy, że to praca olbrzymia, trudna i bardzo długa.

Zenon Pietkiewicz.



TOWARZYSTWO „POLSKA SZTUKA STOSOWANA” w Krakowie. *)

Wyszło sprawozdanie tego Towarzystwa za pierwszy rok istnienia (od 1 października 1901 do 1 stycznia 1903). Powstanie i pierwszy rok pracy polskiej sztuki stosowanej należą do jaśniejszych chwil naszych wewnętrznych dziejów. Wstyd wyznać, lecz jest prawdą, że dotąd społeczeństwo polskie nie zdołało położyć rodzimego, wspólnego wszystkim piętna artystycznego i kulturalnego na otaczających twórcach życia. A jednak jedynie oryginalność, niezależność, powszechność rysów, znamionujących dzieła danego społeczeństwa, od gmachów do drobnych sprzętów, świadczyć mogą o samoistości i jedności ducha. Niestety, kosmopolityzm kultury artystycznej naszych sfer uprzywilejowanych, ich nieustające upo-

dobanie do sztuki klas posiadających Zachodu, ich niechęć do sztuki ludu polskiego, świadczą wyraźnie o rozdwojeniu w łonie społeczeństwa. Takie też warstwy wyższe, posiadające, nieczuły się chętnie i ginęły dla swoich spółplemieńców w Czechach i na Śląsku, gdy lud prosty trwał w świetle swej kultury artystycznej, wieki czekając szerszych ocknień. To samo groziło i u nas. Zdawało się, że całe życie nasze zostanie zatopione przez jakiś płytki wylew kultury zagranicznej, a w szczególności tandety niemieckiej. Lecz nędznym byłby naród, któryby nie dał świadectwa twórczości niezależnej, własnej i powszechnej, odczucia piękna samoistnego. Z upadkiem stanów występuje u nas łączność ogółu, ukazują się w warstwach ludowych oryginalność artystyczna i w potrzebie stworzenia kultury własnej, niezależnej, inteligencja polska i sfery artystyczne oraz przemysłowe zwracają się do najdawniejszego i najlepszego artysty — ludu. Jestto uznanie i zwrócenie się do wytworzonego już przez ten lud piękna otoczenia, zrozumienie go i ujęcie dla dalszego rozwoju wśród artystów, dla stworzenia odrębności i jedności kulturalnej społeczeństwa. Wynikiem tego zwrotu jest, jak głosi ustawa Towarzystwa, „gromadzenie materiałów z zakresu polskiej sztuki ludowej i zabytków polskich, oparcie tej pracy na szerokich podstawach, szukanie materiałów wszędzie, gdzie tylko brzmi mowa polska” (sprawozdanie, str. 4). Celem zaś, do którego droga ta prowadzi to „budzenie oryginalnej twórczości... przemysłu i budownictwa i nadanie jej cech odrębności narodowej.” Wynikiem tych myśli było urządzenie wystawy w Muzeum Narodowym w Krakowie, gdzie najbogaciej przedstawiało się Krakowskie; na ścianie, pokrytej polichromją, zawieszono szereg obrazów chłopskich, tuż umieszczono skrzynie malowane, kilka całych ubiorów, model chałupy, ozdobionej malowaniem na zewnątrz... nadto kilkadziesiąt kartonów z motywami zdobniczymi dawało dokładny obraz sztuki ludowej. Zakopane również przedstawione było pokaznie, Beskidy na Śląsku austriackim i ks. Łowickie. Zwrócono się i do historii sztuki polskiej, do zabytków budownictwa drewnianego, do pasów z różnych fabryk polskich i innych wyrobów dawnych oryginalnych. Były wreszcie „usiłowania społeczne.” Wystawa obudziła żywe zainteresowanie w Krakowie, nie tylko wśród artystów i rzemieślników,

*) Lokal Tow. mieści się przy ul. Wolskiej № 14.

lecz i wśród szerszego ogółu. Kilka-
dziesiąt osób stale pracowało na
wystawie z pendzlem i ołówkiem
w rękę, studiując motywy. Drugą
wystawę mieliśmy w Warszawie
w „Zachęcie,” będącą powtórzeniem
krakowskiej. I tu podziałała ona
dobroczynnie na sfery artystyczne
i w części przemysłowe. Z okazji
dotąd nieznanymi zwracały uwagę
pokrewne zakopiańskim rzeźby
żmujdzkie, bogaty był nadzwyczaj
zbiór rysunków pisanek T. Dow-
girda (2 tys.). Nadto zwracał u-
wę szereg kartonów, malowanych
przez artystę, p. Wyszyńskiego,
wydobywającego zasadę ornamen-
tu ludowego, najskrytszą jego myśl.
Pamiętamy dotąd, jak wystawa
była zwiedzana tłumnie, ilu arty-
stów i rzemieślników rysowało mo-
tywy. „Towarzystwo” wydało ze-
szyt in 4° z reprodukcjami artyz-
mu ludowego, składający się z o-
kładki barwnej, pięciu plansz barw-
nych i dwóch czarnych. Ciekawe
to, sumiennie wybrane i wykona-
ne pięknie wydawnictwo materia-
łów artystycznych! Cena jest
nader niska, dostępna dla wszyst-
kich, wynosi bowiem rb. 1 kop. 50.
Dalszy rozwój wydawnictwa zale-
żeć będzie od powodzenia materiał-
nego zeszytu pierwszego i w ogól-
ności od poparcia Towarzystwa
przez społeczeństwo, czyli mówiąc
prościej, od ilości jego członków.
W każdym razie w ciągu r. 1903
mają być wydane najmniej 2 ze-
szyty, które członkowie za rok 1903
otrzymują bezpłatnie. Istnieją już
własne zbiory Towarzystwa, nie-
mniej każdy okaz, rysunek, lub fo-
tografia, ofiarowane Towarzystwu,
przyjmowane są z wdzięcznością.
Do prac, podjętych przez „Towa-
rzystwo” należy rozpisanie 6 kon-
kursów na różne szczegóły arty-
styczno-przemysłowe. Nadto sek-
cja przemysłowa przy udziale za-
proszonych przedstawicieli zakła-
dów drukarskich w Krakowie za-
stanawiała się nad sposobami na-
dania polskiej sztuce drukarskiej
odrębnego typu, przyczem posta-
nowiono zastosować tymczasem je-
dyne odrębne inicjały i ozdoby
drukarskie, zakładać kółka arty-
styczno-drukarskie, ogłaszać kon-
kursy i urządzać wystawy. Sek-
cja starała się zachęcić na dru-
gim posiedzeniu przedstawicieli
zakładów stolarskich w Krakowie
do spółdziałania z artystami ce-
lem nadania przemysłowi stolar-
skiemu cech bardziej artystycznych
i swojskich. Warsztatów tkackim
p. Pohlmann w Lipnicy w gub.
Kiel. polecono na jego życzenie
wzory artystów na dywany i ki-
limy. Kilimy, wykonane podług

tych wzorów, zostały wszystkie
sprzedane na wystawie warszaw-
skiej, a p. Pohlmann dostał oprócz
tego szereg zamówień.

Ciekawą jest stała umowa „To-
warzystwa” z p. Antoniną Sikor-
ską, właścicielką warsztatów tkac-
kich w Czernichowie pod Krako-
wem; dostarczono też wzorów na
meble krajowej szkole koszykar-
skiej w Skołyszynie. W skład ko-
mitetu „Towarzystwa” weszli: prof.
Karol Potkański, jako przewodni-
czący, Jerzy Warchałowski jako
sekretarz, Jan Bukowski, Franc.
Bruzdowicz, dr. Stan. Goliński, dr.
Feliks Kopera, prof. Jan Stanisław-
ski, Włodzimierz Tetmajer. Edward
Trojanowski i Stanisław Wyspiań-
ski. Wkładki członków zwyczaj-
nych przyniosły w pierwszym za-
raz roku 3056 koron, a założycie-
le złożyli 2600 koron. Wystawy
dały 3100 koron, z tych warszaw-
ska tylko 900, przychód wogóle
wynosił 10,000 koron. Nie potrze-
bujemy zalecać nikomu „Towarzy-
stwa „Polskiej sztuki stosowanej”
w Krakowie. Wielkie znaczenie
tej instytucji, dzielne dotychczas-
we przeprowadzenie zadania wró-
żą jej najlepszą przyszłość. Kie-
runek ten powinien ogarnąć i prze-
tworzyć najszerze sfery artystycz-
no-przemysłowe, na członków każ-
dy zapisać się powinien, kto ro-
zumie, jak doniosłej sprawie tu
pomoże, ile sam zyska, otrzymu-
jąc, jako członek, zeszyty sztuki o-
ryginalnej ludowej i polskiej daw-
nej i społecznej.

Musz.



0 odszkodowaniu robotników

według nowej ustawy.

I.

Prawo o umowach, objęte kodek-
sami cywilnymi społecznymi, a mię-
dzy innymi i kodeksem cywilnym
u nas obowiązującym, oparte jest
na fikcji prawnej wolności i równo-
ści stron kontraktujących.

Wychodząc z zasady, że strony
kontraktujące są całkiem od siebie
niezależne, że przeto z jednakowej
korzystają swobody przy dysku-
towaniu i układaniu warunków umo-
wy, że wreszcie każdy sam najle-
piej zdola ocenić, co najbardziej
odpowiada jego interesowi, prawo
cywilne pozostawia stronom najzu-
pełniejszą swobodę co do ustano-
wienia warunków umowy, w którą

wejść zamierzają. Panuje w tej
mierze niepodzielna zasada: *laisser
faire, laisser passer*.

Zasada ta kodeksu, stosowana do
umowy najmu pracy, z natury rze-
czy musiała pociągnąć za sobą u-
jemne dla klasy robotniczej skutki.
Ze swobody zawierania umów, za-
pewnionej przez kodeks rzekomo
obu stronom kontraktującym, ko-
rzystał jedynie ekonomicznie nie-
zależny pracodawca, nie zaś robot-
nik, który, nie mając innego mie-
nia, prócz siły swych mięśni, musiał
dla zdobycia koniecznych środków
do życia oddawać je pracodawcy
pod najuciążliwszymi nawet dla
siebie warunkami. Stąd płyną lic-
zne dolegliwości robotnika społecz-
nego: nadmiernie długi dzień ro-
boczy, niskie zarobki, niehigienicz-
ne warunki, w których odbywa się
praca i t. p.

Usiłuje temu po części przynaj-
mniej zaradzić tak zwane ustawo-
dawstwo społeczne. Wychodzi ono
z zasady, że robotnik nazbyt jest
zależnym od pracodawcy, by mógł
skutecznie bronić swych interesów
przy zawieraniu umowy co do naj-
mu pracy, i dlatego ustanawia pew-
ne warunki, które niezależnie od
woli obu stron i bez względu na
osnowę umowy mają moc obowią-
zującą zarówno dla pracodawcy,
jak i robotnika. Ograniczono więc
długość dnia roboczego, określono
ściśle terminy i sposób wypłacania
zarobków, określono warunki higie-
niczne, jakim odpowiadać winno
pomieszczenie, w którym odbywa
się praca i t. p.

Dążąc do unormowania kontrak-
tu najmu pracy w sposób zgod-
niejszy z wymogami sprawiedliwo-
ści i słuszności, ustawodawstwo spo-
łeczne zwrócić musiało między in-
nymi uwagę i na ciężkie położenie
robotnika w razie utraty przezeń
zdolności do zarabkowania skut-
kiem nieszczęśliwych wypadków
przy pracy. Ponieważ umowa naj-
mu pracy, dyktowana jednostron-
nie przez pracodawcę, nigdy nie
określa, czy i w jakiej mierze ro-
botnik w takich razach ma prawo
żądać odszkodowania, przeto robot-
nik, który skutkiem wypadku przy
pracy utracił zdolność do pracy,
mógł zgnalić na drodze prawa pra-
codawcę swego do wypłacenia mu
odpowiedniego odszkodowania tyl-
ko o tyle, o ile ogólne przepisy
prawa cywilnego mu je przyzna-
wały.

Niestety jednak prawo cywil-
ne nie sprzyjało pod tym wzglę-
dem robotnikom. Kodeksy cywilne
zawierały conajwyżej przepis, jaki
znajdujemy i w obowiązującym u
nas kodeksie cywilnym francuskim

(art. 1.382), według którego każdy obowiązany jest wynagrodzić szkodę zrządzoną przez winę własną, lub też przez winę osób, spełniających jego zlecenia. Skutkiem tego robotnik w razie wypadku mógł domagać się na drodze prawa odszkodowania tylko wtedy, gdy udowodnił, że wypadek, któremu uległ, nastąpił z winy pracodawcy, jego oficjalistów, majstrów.

Przepis taki, oczywiście, nie zabezpieczał w należytej mierze praw robotnika. Nawet tam, gdzie wypadek wynikał z winy pracodawcy, często było trudno udowodnić to sądownie. Gdy zaś wypadek zdarzał się bez winy pracodawcy, ten ostatni wcale nie miał obowiązku wypłacić odszkodowania robotnikowi. Jeżeli więc pracujący w wypadku, wywołanym przyczynami, których przewidzieć, którym więc i zapobiec nie było można, utracił zdolność do pracy, musiał on, jeżeli rzecz się miała na Zachodzie, gdzie gmina obowiązana jest do okazywania pomocy ogłodzonym ze środków utrzymania członkom, uciekać się pod obronę gminy i ulegać degradacji cywilnej i politycznej z opieką taką połączoną; u nas zaś, gdzie prawo żadnych praw nie na gminę względem jej biednych członków nie nakłada obowiązków—musiał on chyba wyciągać rękę do przechodniów, by od śmierci głodowej się uchronić.

Krzycząca to niesprawiedliwość! Wobec dzisiejszych metod produkcji z potężnymi jej motorami i skomplikowanymi maszynami, które skutkiem obłuznienia jakiegś śrubki, pęknięcia drobnego jakiegś kółka, wygięcia jakiego prętu i tysiąca innych, nie dających się przewidzieć okoliczności, w każdej chwili gotowe są zwrócić całą swą siłę przeciw człowiekowi je obsługującemu, wypadki nieszczęśliwe z ludźmi są wprost nieuniknione. Zważyć przy tym należy, że robotnik, zatrudniony dzień po dniu, rok po roku, od kolebki nieledwie do grobu przy motorze i maszynie, powoli zatracca świadomość niebezpieczeństwa, z jakim połączona jest jego praca; z natury rzeczy, jego wrażliwość tępieje i słabnie, skutkiem tego zapomina nieraz podczas pracy o najprostszych nawet zasadach roztropności i całkiem nieświadomie naraża się na groźne niebezpieczeństwa. Smutna to prawda, lecz niewątpliwa, że produkcja dzisiejsza tak samo zupełnie nie może obejść się bez ofiar ludzkich, jak bez smarów lub węgla. Jak na zasadzie danych statystycznych z góry można obliczyć, ile produkcja w danym kraju i w danym okre-

sie czasu zużyje, dajmy na to, węgla i żelaza, podobnie z góry zawsze da się przewidzieć, ilu przybliżenie robotników w danym kraju i w danym okresie czasu ponieść przy pracy śmierć lub kalectwo. W Niemczech np. wiadomo, że skutkiem wypadków przy pracy rokrocznie przeszło 9,000 robotników umiera a przeszło 400.000 odnosi rany. Dla ilustracji przypomnę, że podczas wojny 1870/71 roku armja niemiecka straciła 28.268 ludzi w zabitych, a 88.478 w rannych. W ciągu więc jednego tylko roku armja robotnicza niemiecka więcej ma rannych, niż miało wojsko niemieckie w ciągu całej, tak krwawej kampanji, której Niemcy zawdzięczają potęgę polityczną dzisiejszą. Liczba zaś poległych we Francji żołnierzy niemieckich trzy razy tylko była większą od liczby robotników, którzy rokrocznie w Niemczech śmierć ponoszą od wypadków przy pracy. Na kogo winny spadać następstwa nieszczęśliwych tych wypadków?

Jeżeli prawdą jest, że wypadki nieszczęśliwe z ludźmi są koniecznym a nieodłącznym wytworem dzisiejszych metod produkcji, a zdaje się, że nikt temu nie zaprzeczy, to skutki tych wypadków tak samo poczytywane być muszą za ciężary produkcji, jak i wszelkie inne koszty, z nią połączone. Ciężary produkcji zaś winien ponosić ten tylko, komu wszelkie z niej dostają się zyski. Zagarnia je w całości pracodawca; słuszna więc, by ponosił i wszelkie ciężary, a więc i skutki nieszczęśliwych wypadków przy pracy. Gdyby znalazł się fabrykant do tego stopnia nierozsądny, że żądałby, aby na kogoś innego spadały, dajmy na to, koszty zakupu węgla lub żelaza do jego fabryki, każdy rozsądny człowiek uważałby to za niedorzeczność oczywistą. Taką samą jest niedorzecznością żądać, by skutki wypadków podczas pracy ponosił nie pracodawca, lecz robotnik.

Warto uwzględnić i to, że w każdym zawodzie połączonemu z nim ryzyku odpowiadać muszą widoki zysku. Jeżeli przemysłowiec ryzykuje kapitał włożony w przedsiębiorstwo, ma on w zamian za to nadzieję, że w normalnych warunkach zyski z przedsiębiorstwa znacznie przewyższają procenty, jakie by mu przynosił tenże kapitał, pomieszczony w papierach procentowych lub na zupełnie pewnej hipotece. Nie inaczej dzieje się w handlu i w zawodach wyzwołanych. Nie wielu zapewne chciałoby ryzykować znaczne koszty połączone ze studjami prawnymi, lekarskimi,

technicznymi, gdyby to nie zapewniało im szans,—wprawdzie często niezszechających się, że — przy ich pomocy będą pobierali w przyszłości dochody większe, niż osoby, które bez przygotowania naukowego przystępują do pracy zarobkowej. Spodziewana przewyżka zysków lub dochodów jest wynagrodzeniem za ryzyko. Robotnik zaś, choć praca jego połączona jest z niebezpieczeństwem utraty życia i zdrowia, żadnego za ryzyko swe nie otrzymuje wynagrodzenia. Doświadczenie uczy, że w zasadzie zarobek jego wystarcza jedynie na pokrycie tych jego potrzeb, bez których zaspokojenia nie mógłby pracować, przedstawia więc ono niejako jedynie zwrot kosztów produkcji tej sumy siły mięśniowej, którą w zamian za zarobek oddał pracodawcy. Wynagrodzenia przeto za ryzyko niema tu żadnego. Nadto stopień ryzyka, jakiemu podlega robotnik przy pracy, zależy nie od niego samego, lecz wyłącznie od pracodawcy, gdyż ten ostatni jedynie rozstrzyga, co, jak i kiedy ma być robione, czy robotnik pracować ma sam, czy łącznie z innymi, słowem wyłącznie od pracodawcy zależą wszelkie warunki pracy, od których w tak wysokim stopniu zawisło bezpieczeństwo robotnika.

Nie należy spuszczać z uwagi i tego, że włożenie na pracodawcę ryzyka połączonego z pracą nie zagraża jego interesom żadnym uszczerbkiem. Cena towaru kształtuje się przede wszystkim zależnie od kosztów produkcji; w miarę podniesienia się lub obniżenia tych kosztów, podnosi się lub obniża cena jego. Włożenie zaś ryzyka, połączonego z pracą, na pracodawcę, równałoby się powiększeniu kosztów produkcji i wywołać musi podniesienie cen na jego wyroby. Koszta więc właściwie ponosiłby nie pracodawca, lecz społeczeństwo, które, zakupując jego wyroby, zwraca mu w cenie za nie i wszelkie koszty produkcji. Pod pewnym względem ponosi je ono już i obecnie, gdyż koniec końców robotnikowi pozbawionemu zdolności do pracy przychodzi w pomoc dobroczynność ogółu. Tylko że to, co tą drogą dostaje się poszkodowanemu robotnikowi, nie zawsze wystarcza, co zaś ważniejsza, pomoc ze strony społeczeństwa okazywaną mu jest w formie niewłaściwej i w sposób, ubliżający godności osobistej, gdyż otrzymuje on jako jałmużnę to, co jako cena krwi jego i zdrowia należy mu się z prawa.

Zdawałoby się, że wszystko to jest całkiem jasne i nie może ule-

gać zaprzeczeniu. Tymczasem późno bardzo, gdyż dopiero w ostatnich lat dziesiątkach zaczęto uważać za słuszne, by robotnik w razie utraty zdolności do pracy skutkiem nieszczęśliwego wypadku przy pracy otrzymywał odpowiednie odszkodowanie.

Pierwszy krok na tej drodze zrobiły Niemcy, gdzie w 1884 wydano ustawę o odszkodowaniu robotników w razie wypadków. Za Niemcami poszły i inne państwa Europy, a mianowicie Austria w r. 1887, Włochy w r. 1898, Anglja w r. 1897, Francja w r. 1898. W Wielkim Księstwie Finlandzkim odnośna ustawa zyskała w 1895 sankcję prawodawczą. Wreszcie w czerwcu r. b. wydana została taka sama ustawa dla całego Państwa.

Ustawa rosyjska dotyczy wyłącznie robotników zatrudnionych w fabrykach, kopalniach i zakładach górniczych, z wyjątkiem jednak fabryk, kopalń i zakładów górniczych, należących do skarbu, kolei i przedsiębiorstw żeglugi parowej tak rządowych, jako i prywatnych, oraz niektórych pomniejszych zakładów rolniczo-przemysłowych, jako to: gorzelni rolniczych, tartaków, młynów i t. p., o ile zakłady te rolniczo-przemysłowe odpowiadają pewnym z góry określonym warunkom. Jak więc widzimy, zakres obowiązującej nowej ustawy jest dość ciasny. Prócz robotników zatrudnionych w fabrykach, kopalniach i zakładach górniczych należących do skarbu, do kolei i przedsiębiorstw żeglugi parowej, jak również prócz robotników zatrudnionych w zakładach rolniczo-przemysłowych, nie będą z niej korzystali nadto robotnicy zatrudnieni w rolnictwie, w rzemiosłach, na kolejach i wogóle we wszelkich przedsiębiorstwach przewozowych, przedsiębiorstwach budowlanych i t. p. Prawa wszystkich licznych tych kategorii robotników w razie nieszczęśliwych wypadków kształtować się będą według ustaw dotąd obowiązujących *)

*) Robotnik, który uległ wypadkowi przy pracy, wedle praw dotąd obowiązujących może poszukiwać odszkodowania jedynie na zasadzie art. 1382 kodeksu cywilnego, wedle którego odszkodowanie należy się tylko wtedy, gdy wypadek nastąpił z winy pracodawcy, lub osób spełniających jego zlecenia (np. techników, majstrów, innych robotników i t. p.). Musi więc robotnik przede wszystkim udowodnić winę pracodawcy, inaczej odszkodowanie nie może mu być zasądzone. Wyjątkowo robotników kolejowych, poszukujących odszkodowania od zarządu kolei, dotyczy art. 683 części I tomu X Ogólnego Zbioru praw dla

Zdaje się, że prawodawca rosyjski obrał taką samą drogę postępowania, co i prawodawcy zachodni, którzy pierwotnie moc obowiązującą ustaw o odszkodowaniu robotników rozciągnęli jedynie na robotników w fabrykach i kopalniach i dopiero w następstwie stopniowo stosowali ją do kategorii robotników coraz liczniejszych. Że i prawodawca rosyjski zamierza stopniowo nadać większą rozciągłość ustawie, o tym przekonywa zawarte w niej postanowienie, mocą którego włożono na Ministerjum obowiązek przedstawienia w ciągu roku projektu do prawa o zastosowaniu nowej ustawy do robotników zatrudnionych w zakładach przemysłowych, należących do kolei i przedsiębiorstw żeglugi parowej. Za temi kategorjami robotników pójdą zapewne i inne.

DN

L. L.



„Przedsiębiorstwo gazeciarskie.“

(Nadesłane).

Takim wręcz niepoehlebnym mianem ochrzcił „Przegląd Tygodniowy“ (№ 44) świeżo zawiazane „Towarzystwo Współdzielcze Opałowe“, twierdząc, że powstało ono pod „egidą gazeciarzy“ i że zaczęło swoją działalność pod „wodzą gazeciarzy“, wskutek czego pismo to powątpiewa, czy nowa spółka ma szanse powodzenia i rozwoju.

Jako inicjator tego towarzystwa a więc jako ów „gazeciarz“, o którym odezwano się z przekąsem, uważam za właściwe wystąpić w obronie zasady, opiewającej, że ludzie pióra nie tylko mają prawo, lecz nawet obowiązek brania czynnego udziału w naszym życiu ekonomiczno-społecznym dla realizowania głoszonych przez siebie haseł czy ideałów.

Pomimo nieuniknionego różnicowania się na piszących i czytających, nie pojmuję wprost zasady, na mocy której dziennikarze i publicyści mieliby być wykluczeni od

Cesarstwa. Ostatni ten przepis o tyle jest korzystniejszy dla robotników, niż art. 1382 K. C., że robotnik kolejowy nie jest obowiązany dowodzić, że wypadek nastąpił z winy zarządu kolei, lub jego agentów. Z drugiej jednak strony wolno jest zarządowi kolei udowodnić przed sądem, że wypadek nie był wywołany z winy jego agentów, a w takim razie sąd obowiązany jest odmówić odszkodowania robotnikowi.

praktycznego działania; według mnie jedno pomyslnie wcielenie zasady w czyn i pokazanie, jak to należy zrobić, warte więcej od całego szeregu najładniejszych artykułów, które pozostaną martwą literą, o ile ktoś nie zechce uczynić próby ich zastosowania w praktyce.

Rozumiem, że nikt tak gorąco nie zabierze się do urzeczywistnienia danej myśli, jak ten właśnie, kto ją w głowie swej począł, w duszy wypiastował, i całym sercem umiłował. Jakkolwiek łatwo znaleźć ludzi zdolnych, uczciwych, i duchem obywatelskim przejętych, którzy dobrą myśl za swoją przyjmą i do jej urzeczywistnienia chętnie się przyczynią, bo tak właśnie stało się z „Tow. Opałowym“, to jednak uważam, że ten, kto dobrą myśl podjął, ma jako obywatel obowiązek przyłożyć rękę do jej obleczenia w szaty realności i oddania stale części swej pracy na usługi społeczne.

Dziennikarz i publicysta nie spełnił jeszcze swego całego zadania przez to, że o czymś napisał, jakkolwiek niewątpliwie jest to jego główne i pierwsze zadanie; jeżeli może i chce, powinien koniecznie zaprząć się do roboty i zakasałszy rękawy być najgorliwszym w tejże robocie, a nawet służyć przykładem.

Potrzebne jestto, według mnie, nie tylko dla tego, że piszący powinien być równocześnie i działającym jako obywatel, mający równe z innemi obowiązki, ale i dlatego, że gdy zapozna się praktycznie z wielu sprawami ekonomiczno-społecznymi, to nie będzie traktował ich po doktrynersku i w oderwaniu od konkretnych warunków życia, a w ten sposób wszystko, co napisze, będzie miało daleko większą wartość i znaczenie.

Jeżeli jeździłem w swoim czasie do Brukselli i Londynu dla studiów nad ruchem współdzielczym, to nie dlatego, aby o nim tylko pisać; kto przyjrzy się owocom pracy, osiągniętych przez innych na tym polu działalności ekonomiczno-społecznej, a posiada w sobie nieco temperamentu i energii, ten nie ograniczy się do pobożnego życzenia, bez względu na to, czy jest „gazeciarem“ czyli też nie.

O sprawie węglowej piszą różni różnie, ale wszyscy przeważnie wiedzą o węglu tyle tylko, że smoli, że się nim pali w piecu, i że się zań drogo płaci; to nie wystarcza do pisania o nim i do dawania rad społeczeństwu. Tymczasem dotknęcie się własną dłonią do sprawy da-

je od razu ogromne doświadczenie oraz istotną znajomość rzeczy, którą można prawdziwie na użytek społeczeństwa obrócić.

Zasada ta odnosi się zarówno do wszystkiego innego; trzeba rzecz znać dokładnie, jeżeli się chce o niej dokładnie pisać. Tymczasem u nas istnieją dziwne pod tym względem stosunki; dziennikarze i publicyści muszą częstokroć z konieczności pisać o rzeczach, których nie znają, lub nie znają dobrze, boć nie podobna być „specjalistą od uniwersalności“, a od zawodowców nie można wymodlić artykułu, bo albo pisać nie chcą, albo nie umieją, gdyż to do nich nie należy.

Dla dobra więc naszego społeczeństwa winni powstawać różni specjaliści, umiejący pisać, i różni „gazeciarze“, znający życie praktycznie i nie ograniczający się do samej teorii. Jeżeli pojawi się śmiałek, który chce wydać wojnę fałszywej zasadzie niebrania przez dziennikarzy udziału w życiu praktycznym, to nie godzi się występować przeciwko niemu zwłaszcza w łamach pisma postępowego, mającego za zadanie walkę z wszelkim przesądem.

„Przegląd Tygodniowy“ twierdzi również, iż założenie spółdzielczego towarzystwa opałowego nie przyniesie żadnej korzyści; że właściwy skutek odniosłoby dopiero zniesienie 10-kopiejkowego cła i wybudowanie konkurencyjnej linii kolejowej, zbliżającej kopalnie śląskie do Łodzi i Warszawy.

Jeżeli weźmiemy rzecz z bardzo szerokiego punktu widzenia, to i ten środek w danym razie może nie pomóc, coż bowiem zabroni kopalniom śląskim zawrzeć z naszymi syndykat i dyktować nam swoje ceny? Wszak od tego wyzysku mogłaby nas uchronić jedynie władza przez odpowiednie ustawodawstwo lub przez przejęcie kopalni na siebie i prowadzenie ich we własnym zarządzie.

Tymczasem nie możemy pozwalać się łupić żywcem ze skóry i przepłacać za artykuł pierwszej potrzeby, bez którego żyć nie podobna. Jeżeli uda się nam wykluczyć bodaj jedną kategorię pośredników, a mianowicie drobnych składników, i zapewnić naszym członkom dobry węgiel, rzetelną wagę, stałe ceny i regularną dostawę, to już osiągniemy wiele, i tylko nieznający rzeczy może twierdzić, że to nie przyniesie korzyści, dla której warto ponieść nieco trudu i zachodu.

Wreszcie słowo odnośnie do zarządu nowej spółki, opartej dzisiaj

na akcie rejentalnym, wypracowanym przez takiego specjalistę, jak p. mecenas Waydel, a zawartym przed notariuszem J. Staniszewskim.

W zarządzie jest nas pięciu; z tego dwu „gazeciarzy“ a trzech ludzi, którzy posiadają teoretyczne wykształcenie handlowe i znaczną praktykę życiową. Wice-prezesem jest p. Roman Mieszczański, który dawniej zajmował się handlem zbożowym; obecnie zaś jest prezesem towarzystwa spożywczego urzędników magistrackich, a więc rozumie dobrze zasadę i praktykę tego rodzaju zrzeszeń; kasjerem jest były kupiec a obecnie wice-dyrektor 2-go Tow. Pożyczkowo-oszczędnościowego w Warszawie, p. Antoni Długocki; kontrolerem zaś p. Romuald Więckowski, właściciel interesu komisowego. Sekretarzem jest wprawdzie „gazeciarsz“, ale ten chyba jest zupełnie na swoim miejscu, wreszcie podpisanemu przypadł obowiązek przewodniczenia jako inicjatorowi, teoretykowi ruchu spółdzielczego, któremu należenie do „gazeciarzy“ nie przeszkadzało wcale pełnić w Nowym-Yorku przez trzy lata obowiązki buchaltera w kompanji gazowej.

Niezależnie od tego zarząd zapewnił sobie już usługi dzielnego specjalisty-węglarza, który przez wiele lat „robił w węglach“ w Warszawie i daje pewność umiejętnego poprowadzenia całego interesu.

Piszę to wszystko dla tego, aby wykazać, że nowe towarzystwo nie znajduje się wcale pod wodzą „gazeciarzy“ i że z tego powodu daje gwarancje powodzenia finansowego, jeżeli tylko zostanie dostatecznie poparte przez społeczeństwo, na brak czego do tej pory narzekać nie możemy.

Wojciech Szukiewicz.

Przegląd Prasy.

W zeszycie październikowym „Biuletynu warszawskiej“ wydrukowano studjum p. Askenazego o życiu i działalności społecznej czcigodnej pamięci Aleksandra Kłobukowskiego. Opublikowane tu poraz pierwszy szczegóły zasługują na powtórzenie.

„Wiosną 1863 r., podczas wycieczki granicznej, został najniespodziewaniej w Berlinie wtrącony do zagadnień doniosłych a nadzwyczaj drażliwych, wciągnięty całkiem przygodnie, wbrew własnej woli, do labiryntu ówczesnej zakulisowej dyplomacji pruskiej, której kierownictwo właśnie był objął

nowy, niedość jeszcze światu znany przewodnik, rozpoczynający dopiero wielką karierę światową p. v. Bismarck. Bawił wtedy w Berlinie Treskow, Niemiec posesjonowany w Królestwie, sąsiad Powiercia, właściciel Chodowa pod Kutnem, będący osobicie w zażyłych z Bismarckiem stosunkach, a przez brata swego, adjutanta królewskiego, w blizkiej styczności z dworem, i który, doznawszy niedawno pewnej przysługi sąsiadkiej od Kłobukowskiego, przypisywał mu odtąd jakieś wpływy wydatne na przebieg ruchów krajowych. Zgłosił się tedy do niego, w asystencji radcy ministerjalnego, przyslanego od Bismarcka, i poczynił w imieniu rządu pruskiego szereg bardzo daleko sięgających wynurzeń, dotyczących położenia rzeczy w Królestwie oraz przyjacielskiej gotowości Prus względem przyłożenia się do pacyfikacji w najpożądanym dla kraju sposobie. Były w tych nieoczekiwanych wynurzeniach rzeczy ze wszech miar uderzające a nawet wprost nadzwyczajne, była w nich mowa o W. Ks. Konstantym i o arcyksięciu Maksymiljanie i o ks. Bogusławie Radziwille, młodszym synu ks. Antoniego; było też zaproszenie na audjencję poufną u króla Wilhelma I.

Przyjął te kuszące propozycje z roztropną wstrzeźliwością Kłobukowski; od ofiarowanej audjencji wręcz się uchylił, wszelkich osobistych w tej materji rokowań odmówił; poprostu oświadczył, co najściślej z prawdą było zgodne, iż do żadnej tego rodzaju negocjacji upoważnionym nie jest i żadnej też samowolnej roli podejmować się ani chce, ani może. Zażądano wówczas od niego, aby przynajmniej niezwłocznie do Paryża się udał i zakomunikowane oferty do wiadomości ks. Władysława Czartoryskiego i Biura paryskiego poniósł. Rzecz, bądź co bądź, w krytycznych okolicznościach ówczesnych, nazbyt była doniosła, aby ją na własną odpowiedzialność ignorować i schować było wolno. Kłobukowski w tej chwili pojechał do Paryża, stawiał się natychmiast w Hotelu Lambert, i ks. Czartoryskiemu w przytomności Wal. Kalinki, Bron. Zaleskiego, Djon. Skarżyńskiego i in., poprostu zreferował usłyszane w Berlinie oświadczenia, które wszakże wtedy uznane zostały za niezasługujące na uwagę, a nawet zdolne raczej zaszkodzić prowadzonym równocześnie negocjaczom francusko-angielskim. Powróciwszy z Paryża do Warszawy, po niewiele już miesiącach, wobec całkiem już beznadziejnego w kraju położenia, udał się na dłuższy pobyt za granicę. Pod koniec 1863 r., wkrótce po głośniejszej mowie listopadowej Napoleona III, odebrał w Paryżu długie pismo od Treskowa, zapewniające, iż „wszystko jeszcze jest do uratowania“, i wzywające go do niezwłocznego przybycia do Berlina. Na naradzie, odbytej w styczniu 1864 r. u ks. Czartoryskiego, w obecności Kalinki, Stanisława Platera i zmarłego niedawno ks. Adama Sapiehy, zlecono Kłobukowskiemu jechać do Berlina, dając mu na drogę, wraz z cyfrą, bardzo ogólnikowe a nawet sprzeczne instrukcje, zaś w gruncie rzeczy mając na myśli nie tyle wia-

rę w protekcję berlińską, ile raczej nadzieję wytrącenia z bezwładności dyplomacji francusko-angielskiej, przez widok interwencji pruskiej. Próżne oczywiście były te rachuby, w oplakany położeniu ówczesnym a w niebezpiecznej grze z takim partnerem, jak minister Bismarck.

Kłobukowski, przybywszy do Berlina, po przedwstępnej dnia 1 lutego 1864 roku naradzie z Treskowem, zaprowadzony był przez niego, dnia 4 lutego, do Bismarcka, z którym dwugodzinną odbył konferencję. Mowa była o rzeczach najrozmaitszych, już nie tak daleko wprawdzie, jak poprzednio, sięgających, lecz jeszcze dosyć bajecznych; aliści, jak sztydło z worka, bezustanku z miódopłynnych słów ministra wychodziła natarczywa propozycja wkroczenia do Królestwa i tymczasowej okupacji pewnych rozległych pasów nadgranicznych, a nawet mimochodem wprost wyrwało mu się oświadczenie, iż „kombinacja odstąpienia Prusom Polski po Wisłę i Narew już przed powstaniem była przez samą Rosję proponowana“. Tutaj tkwił rdzeń rzeczy, w tej nowej, pożądlwej myśli podziałowej, albo raczej w tym odnowieniu starego, nieśmiertelnego pomysłu pruskiego, owej upragnionej *Knesenbecker Grenze* z 1813 r., po którą już raz sięgano z Berlina w 1813 r. i o której odtąd nigdy tam nie zapomniano. Kłobukowski nie był historykiem, nie był politykiem, nie znał dziejów dyplomacji pruskiej, nie znał całej drapieżnej i przewrotnej potęgi swego interlokutora, wykluwającego się dopiero arcymistrza „rokowań delatoryjnych“, niezupełnie mógł zorientować się w głębszych zwrotach Bismarckowskiej dobrodusznej gawędy, nie całkiem jasno widział, ale najjaśniej wyczuł, wyczuł z przerażeniem, z mimowolną zgrozą, że dotyka się tutaj jakiejś rzeczy fatalnej, podstępnej, niemiłosiernej, zabójczej.

„Że Prusacy bardzoby byli radzi kraj ten zagarnąć pod swoje rządy,—donosił natychmiast po konferencji z Bismarckiem, w depeszy z d. 5 lutego do ks. Czartoryskiego,—nie ulega wątpliwości. *On le ferait bien, si on y était encouragé*. Znajduję nawet, że gotowość wkroczenia jest tak wielka, i że tak jest łatwo pchać w tym kierunku, że mnie strach bierze, czy się nie robi głupstwa, czy się nie gubi kraju w dobrej wierze. A nuż *un fait accompli* będzie uszanowany, a nuż Napoleon III... znajdzie w tym załatwienie kwestji, zabrawszy część nadreńskich prowincji, a nuż się znajdzie jaka deputacja, żądająca tego, a rzecz wykona się na żądanie, przy okrzykach radości Żydów i Niemców, przy iluminacjach i t. p.? To nóż obosieczny!.. Tak dalece jestem przestraszony łatwością, z jaką się rzeczy układają, że nietylko na swoją odpowiedzialność dalej w tym kierunku pchać nie chcę, ale nawet gotów jestem uciec z Berlina, jeżeli mi stanowczej nie dacie otuchy, poparcia i zabezpieczenia od wszelkiej odpowiedzialności... Jestem tu sam jak kolek, głębo mam zasznurowaną, nie mam żadnego upoważnienia do działania, nie chcę

mieć żadnego, bo nie chcę odpowiedzialności, zresztą nie znam gruntu paryskiego, jestem odosobniony jak w worku zawiązanym, za instrukcjami co do detali czekać nie zawsze można, korespondencje i powolne i niepewne, czuję instynktowo, że trzymam w ręku nóż zatruty... Są tu nasi ziomkowie, którzy bardzo szczerze w tym kierunku pchają, którzy bardzo chętnie zgodziliby się na pruskie rządy: niech tam diabli wezmą ideę..., byleby morga ziemi poszła w górę.“ Ostrzeżenia te były zewszeczmiar uzasadnione. W tym też duchu brzmiały odpowiedzi z d. 8, 10, 13 i 15 lutego, otrzymywane przez Kłobukowskiego z Paryża. Odtąd starał się on możliwie uchylać się od natarczywości pruskiej, poruszającej z kolei sprawę amnestji i przyjacielskiego pośrednictwa. W depeszach z d. 19 i 21 lutego dopominał się poprostu o pismo, upoważniające go do zaprzestania wszelkich dalszych rokowań. D. 27 lutego otrzymał nareszcie list Czartoryskiego z 24 t. m., przecinający wręcz całą negocjację berlińską.

„P. Bismarck oświadczył,—tak natychmiast po odbyciu z ministrem tej drugiej i ostatniej konferencji donosił Kłobukowski ks. Czartoryskiemu w depeszy z d. 3 marca,—że... on, jako pruski minister może tylko i jest gotów służyć za życzliwego pośrednika, któryby użył całego wpływu u dworu rosyjskiego dla przeprowadzenia tamże żądań warunków stałej pacyfikacji, przez ks. Czartoryskiego sformułowanych, a że w razie, gdyby propozycje te były tego rodzaju, że w Petersburgu nie mogłyby mieć żadnej szansy powodzenia, to onby takowe po przejrzeniu zwrócił, komu należy, a rzecz cała uważanaby być musiała za niebyłą. Tu zwróciłem uwagę, że na wypadek, gdyby ks. Czartoryski znalazł stosownym skorzystać z usłużności p. Bismarcka, to bardzo łatwo mógłby znaleźć się w położeniu człowieka, żądającego rzeczy, któreby p. minister uważał za niemożliwe do przeprowadzenia, że więc byłaby przedewszystkiem bardzo pożądaną i praktyczną wartością mająca wiadomość granicy ustępstw, na jakie dwór rosyjski byłby skłonny się zgodzić, że p. Bismarck, znając dokładnie tameczny grunt polityczny, byłby więcej, jak ktokolwiek, w możności oznaczyć tę granicę, że więc, gdyby raczył pod tym względem udzielić żądanych wskazówek, to rzeczy odrazu by się wyjaśniły, ks. Czartoryski bowiem, mając takie wskazówki w ręku, alboby sformułował takie żądania, któreby miały za sobą wszelkie prawdopodobieństwo, że nie będą przyjęte, alboby żadnych nie sformułował. Odpowiedziało mi na to, że udzielenie takich wskazówek jak z jednej strony ciągnęłoby za sobą pewne moralne zobowiązanie ze strony p. Bismarcka przeprowadzenia żądań w granicach tychże wskazówek sformułowanych, tak z drugiej strony możność przeprowadzenia onych byłaby zawsze wątpliwą... Wszelkie w tym kierunku czynione usiłowania i argumentacje nie zdołały ani na jotę zmienić zdania p. Bismarcka. Przy tych argu-

mentacjach sam byłem raczej zapytywany mimochodem o różne żale, jakie mieliśmy, lub mamy do rządu, czyby nie można ich spisać w celu wyjednania usunięcia onych?“

To wszystko aż zanadto było jasne. Skoro ministrowi nie udało się wyludzić polskiego zaproszenia do pruskiej okupacji Królestwa, chciał on przynajmniej wyludzić na piśmie polski akt oddania się pod protekcję pruską, ażeby następnie z takim dowodem w ręku za swoją lojalność sprzymierzeńczą kazać zapłacić sobie w Petersburgu. Taką samą najdosłowniej była taktyka, stosowana ongi w 1830 roku. Takie, nie inne, miała znaczenie natarczywa „usłużność“ tego „życzliwego pośrednika“, rozpoczynającego w ten sposób od ościenych rzeczy polskich swoje popłatne posłannictwo „uczciwego maklera“ na wielkim rynku polityki europejskiej. Na szczęście, wszelkie próby kusicielskie chybiły celu. Kłobukowski, podczas przeciągającego się pobytu swego w Berlinie, niejednokrotnie jeszcze, aż pod koniec kwietnia, nagabywany był w tej materji za pośrednictwem Treskowskiego, lecz, zasłaniając się stanowczą odmową paryską, wymówił się bezwarunkowo od uczynienia na własną rękę jakiegokolwiek kroku w negocjacji, jak sam doskonale pojmował, „zatrutej“ śmiertelnym jadem złej wiary i machiawelistycznej rachuby.

Zatrzymaliśmy się nieco przydłużej na tym epizodzie jego życia, gdyż, naprzód, rzecz sama nie jest pozbawioną ogólniejszego znaczenia dziejowego, a następnie bywała ona nieraz przedstawiana w świetle fałszywym, czyniącym ujmę czystej pamięci zacnego człowieka. Tak, między innemi, znany publicysta rosyjski, M. Berg, pomieścił swego czasu w wydawnictwie „Russkaja Starina“ zgola opaczność tej sprawy opowieść, gdzie wyobraził Kłobukowskiego niemal dopraszającym się okupacji pruskiej i rządów pruskich w Królestwie. Złożył natychmiast Kłobukowski protest publiczny na szpaltach warszawskiej „Gazety Polskiej“, „Głosu“ petersburskiego, a zarazem przez dwu przyjaciół, pp. B. i M., żądał od Berga odwołania potwarzy, co tenże niezwłocznie też skutecznił. Gdy jednak mimo to i w polskich gdzieniedzie relacjach przychodzi spotykać się z tułającym się odtąd tej insynuacji odgłosem, wydawało się rzeczą stosowną i słuszną na podstawie źródła autentycznego, samej korespondencji Kłobukowskiego, oddać razem hołd prawdzie i niepokalanej czystości tego najtrudniejszego momentu jego służby publicznej.“



KORRESPONDENCJE.

Listy z Galicji.

Kraków, 29 października.

Ani senne debaty budżetowe w sejmie, ani liczne wiece przemysłowe, zwolowane w różnych miastach galicyjskich dla poparcia przemysłu krajowego, ani żadna inna sprawa z doby bieżącej nie zaprzęta tak umysłów społeczeństwa naszego, jak coraz bardziej zaogniająca się sprawa rusińska. Kwestja gimnazjum stanisławowskiego, o której pisałem w liście poprzednim, została rozstrzygnięta w sensie dla Rusinów nieprzychylnym. Mianowicie przeciwnicy ustanawiania nowych gimnazjów rusińskich skorzystali z niemądrej i godnej ubolewania awantury, urządzonej rektorowi, ks. Fijałkowi, przez studentów—Rusinów, i orzekli, że obecnie o założeniu takiego gimnazjum niema mowy.

Uchwała ta komisji sejmowej rozstrzyga właściwie kwestję, gdyż sejm (właśnie dzisiaj) bezwzględnie przychylił się do opinii komisji i wniosek założenia gimnazjum rusińskiego w Stanisławowie odrzucił. Akt ten pociągnie za sobą doniosłe następstwa polityczne. Ma się rozumieć, że agitacja za gimnazjum stanisławowskim nie ustanie, ale, straciwszy wszelką nadzieję otrzymania tego gimnazjum z rąk czynników krajowych, Rusini tym goręcej będą zabiegali o spełnienie tego postulatu w Wiedniu. Pominąwszy to jednak, agitacja ogarnia kraj cały, gdyż posłowie rusińscy zdecydowali się na krok bardzo stanowczy i rozpaczliwy.

Już przed tygodniem posłowie rusińscy postanowili urządzić secesję z sejmu na wypadek, gdyby sejm nie uwzględnił ich żądań w sprawie gimnazjum stanisławowskiego. Obecnie postanowili pójść dalej. Na żądanie ks. metropolity Szeptyckiego odbyło się przedwczoraj ponowne posiedzenie klubu posłów rusińskich. Brakowało tylko posłów Glidzuka i Ochrymowicza. Na tym zebraniu potwierdzono uchwały, dotyczące secesji, następnie zaś postanowiono, aby wszyscy posłowie rusińscy bezpośrednio po secesji złożyli mandaty poselskie. O uchwałach tych zawiadomiono posłów Glidzuka i Ochrymowicza, którzy jednak oświadczyli, że się z postanowieniami reszty kolegów nie solidaryzują i ani w secesji, ani w złożeniu mandatów udziału nie we-

zmą. W odpowiedzi na to klub rusiński wykluczył ze swego grona obydwóch opornych posłów.

Złożenie mandatów przez posłów rusińskich spowoduje nowe wybory, a więc na szeroką skalę prowadzoną agitację i kontr-agitację w całym kraju, manifesty i kontr-manifesty, nadużycia wyborcze i krańcoworoznamiętnienie obydwóch stron walczących, w ostatecznym zaś rezultacie zatamowanie na czas jakiś normalnego rozwoju kraju i pochłonięcie olbrzymiego nakładu energii przez hece szowinistyczne.

Przedsmak tej hecy widzimy już obecnie na licznych zgromadzeniach kształcącej się młodzieży obydwóch narodowości—i to nie tylko w Galicji Wschodniej—na terenie samej walk, ale i w takim Krakowie na przykład. I tu zostałwołany wiec ogólno-akademicki, mający zająć stanowisko w sprawie uniwersyteckich skandalów we Lwowie. Młodzież postępową, potępiając napaść studentów-Rusinów na rektora, jednocześnie potępiała i wybryk narodowo-demokratycznej młodzieży polskiej, dobrowolnie przyjmującej na siebie obowiązki policyjne. Trzeba było widzieć na zebraniu w Krakowie tych młodych narodowych demokratów, którzy nieludzkim rykiem i wymachiwaniem kijami zwalczali argumenty przeciwników! To roznamiętnienie i zacietrzewienie młodzieży, do pewnego stopnia zrozumiałe, widzimy i u starszego pokolenia. Prasa szowinistyczna ze „Słowem Polskim“ i „Dziennikiem Polskim“ na czele systematycznie dopuszcza się denuncjacji—bądź oryginalnych, bądź też obficie czerpanych z „Hałyczanyna“—pod adresem młodzieży rusińskiej, zwłaszcza gimnazjalnej. Szowiniści rusińscy nie pozostają dłużni odpowiedzi i nie żałują również ani kłamstw, ani oszczerstw, ani denuncjacji. I oto mamy jakiś zamęt piekielny, w którym ginie wszelka myśl rozsądna i uczciwa a ciągną się natomiast wszelkiego rodzaju dziwolągi.

Jednym z takich dziwolągów jest odgrzebany z pyłu zapomnienia pomysł gimnazjów utrakwistycznych. Ta sama komisja, która postanowiła nie przychylić się do spełnienia żądań rusińskich w sprawie gimnazjum stanisławowskiego, uchwaliła zaproponować założenie gimnazjum utrakwistycznego. Utrakwizm polega na tym, że niektóre przedmioty nauki wykłada się w jednym, a inne w drugim języku. Młodzieńcom po ukończeniu gimnazjum utrakwistycznego, w którym matematykę studjował w języku rusińskim, historję—po polsku, nauki

przyrodnicze znowu po rusińsku, a literaturę w języku polskim, byłby wprost kaleką psychicznym nawet w takim wypadku, gdyby przed wstąpieniem do gimnazjum znał dobrze obydwie języki. Bo wyobraźmy sobie człowieka, któremu brak na każdym kroku terminów i zwrotów w jednym lub drugim języku—stosownie do tego, w jakim studjował dany przedmiot w szkole. Po polsku taki osobnik wysłowiłby się zupełnie dobrze, skoro chodziłoby o literaturę, ale chcąc mówić o przedmiotach wkraczających w dziedzinę przyrodoznawstwa lub matematyki, musiałby przejść do języka rusińskiego. Literatura przyrodnicza albo matematyczna polska byłaby dla niego obcą, więc uciekałby się do rusińskiej. To samo byłoby i z Rusinem. Kompletnie rozdwojenie osobowości! Gimnazja utrakwistyczne wytworzyłyby jakieś dziwaczne okazy o podwójnym języku, o przepolowionej narodowości.

I takie to pomysły mają służyć do „rozstrzygnięcia“ kwestji rusińskiej! Cóż dziwnego, że nietylko nie rozstrzygają, ale jeszcze bardziej wikłają i gmatwają to, co i tak już jest zaplątane..

Sród powodzi wieców młodzieży, które się odbyły w ostatnich czasach, na uwagę zasługuje zebranie studentów uniwersytetu lwowskiego w sprawie potrzeb tegoż uniwersytetu.

Jak wiadomo uniwersytet lwowski jest najbardziej upośledzonym ze wszystkich uniwersytetów z Austrii, a pod względem dotacji ze strony rządu zajmuje ostatnie miejsce. A jednak pod względem liczby słuchaczy należy do pierwszych i przewyższa niektóre z uniwersytetów austriackich w dwójnasób. Upośledzenie uniwersytetu lwowskiego widocznem jest pod każdym względem. Tak np. w obecnym gmachu wszechnicy lwowskiej brak około 3000 metrów kwadratowych niezbędnej przestrzeni. Ani zbioru naukowego, ani słuchacze nie mają dostatecznie miejsca. Wobec tego wszystkiego zebrana na wiecu młodzież uchwaliła szereg rezolucji, wymieniających główne potrzeby uniwersytetu i zwracających się do rządu z żądaniem zadosyćuczynienia tym potrzebom.

Zażądano więc przedewszystkiem bezzwłocznego uwzględnienia w najnowszym budżecie potrzeby nowego gmachu uniwersyteckiego i przystąpienia do jego budowy w myśl projektu senatu akademickiego lwowskiego w memorjale z 20 grudnia 1901 r. Następnie po szczegółowym zestawieniu przez jedne-

go z referentów braków wydziału filozoficznego, uchwalono rezolucję, domagającą się: zakładu psychologii eksperymentalnej, uposażenia studjum pedagogicznego w katedrę, seminarjum i stypendjum na wyjazd zagranicę, utworzenia katedr anatomii porównawczej, botaniki, astronomji, antropologii i etnologji (drugiej), historii powszechnej (drugiej) historii polskiej i seminarjum historii polskiej, katedry językoznawstwa porównawczego, seminarjum sławistycznego, romanistycznego, archeologii klasycznej, zakładu geologicznego.

Dalej omówiono potrzeby wydziałów prawniczego i medycznego i zażądano: klinik chorób umysłowych, nerwowych, pediatrii, laryngologii oraz odpowiedniego umieszczenia okulistyki i dermatologii; obsadzenia katedr administracji, statystyki i prawa skarbowego, ustanowienia katedry historii porównawczej, prawa oraz wyposażenia seminarjów w środki naukowe i pieniężne i wyjednania stałych remuneracji dla prywatnych docentów.

Wątpić należy, czy wszystkie te piękne rezolucje wywołają jakiś skutek, dopóki dzisiejsi panowie z „Koła Polskiego“ będą reprezentowali Galicję, ale w każdym razie zwrócenie uwagi wszystkich kół społeczeństwa na braki i potrzeby wszechniczy już samo przez się ma znaczenie nie małe.

—ski.

Petersburg. Petersburg otrzymał w d. 21 czerwca r. b. nową ustawę miejską, polegającą na modyfikacji ogólnej ustawy miejskiej 1892. Opiera się, jak i tamta, na zasadzie wyborczej. Niewątpliwym postępowaniem jest rozszerzenie prawa wyborczego. Według dawnej ustawy wyborcami być mogli tylko właściciele nieruchomości i kierownicy wielkich przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych; nowa obdarza prawem wyborczym nadto najzamożniejszą grupę lokatorów, płacących najmniej 33 rb. rocznie podatku mieszkaniowego, oraz zarządzających sprawami ekonomicznymi świątyni wszystkich wyznań i przedstawicieli wszelkich stowarzyszeń stanowych lub społecznych. Reforma ta wywoła zmianę w składzie wyborców, sama liczba lokatorów, opłacających najmniej 33 rb. podatku mieszkaniowego, wynosi według ostatniego obliczenia 7639 osób. Nie należy atoli oczekiwać radykalnych zmian w składzie samym reprezentacji miasta. Zapobiega temu system wyborczy, dzięki któremu mniejszość wyborców rozstrzyga o losach wyborów wogóle. Nowa ustawa dzieli wyborców na dwie klasy: do pierwszej zalicza najzamożniejszych miesz-

kańców, opłacających ogółem $\frac{1}{3}$ sumy podatku miejskiego wnoszonego przez wszystkich wyborców, do drugiej zaś — resztę. Kiedy paruset wyborców pierwszej klasy będzie reprezentowanych w zarządzie miejskim przez trzecią część jego członków (54 radnych), to resztę zarządu (108 radnych) wybiera ma klasa druga, składająca się z przeszło 12,000 osób. Nadto wyborca pierwszej klasy może głosować na każdego z obywateli rozporządzających prawem wyborczym, natomiast wyborca drugiej klasy ograniczony jest w swym prawie głosowania do tego cyrkułu policyjnego, w którym mieszka. Wybory odbywają się nie przez balotowanie, jak było dawniej, a drogą osobistego wręczenia przewodniczącemu wyborczej komisji listy zapieczętowanej z wypisaniem wewnątrz nazwiskami kandydatów na radnych w ilości nie przekraczającej ogólnej liczby radnych dla każdego cyrkułu, albo pierwszej klasy. Kadencja trzyletnia. Obliczanie głosów odbywa się na zebraniu publicznym. Wyborcy, posiadający najwięcej głosów, obierani są na radnych bez względu na to, ile osób uczestniczyło w wyborach. Taki jest główny zrab nowej ustawy miejskiej dla Petersburga. Wskutek rozszerzenia prawa wyborczego na zamożniejszych lokatorów, w skład wyborców weszło sporo inteligencji rosyjskiej. W tej liczbie przeszło 30 adwokatów, jak Gerard, Karabeczewskij, Mironow, Lustich, Potiechin i t. d.; około 20 artystów z teatrów rządowych jak Figner, Dalmatow, Apollonskij, Jakowlew i 10 z teatrów prywatnych, a w tej liczbie Sjewerskij i Rutkowski; prawie 30 literatów, pomiędzy którymi N. K. Michajłowski, W. Korolenko, A. A. Potjechin, Burenin, Potapenko i Gniediez; około 50 profesorów i uczonych, w tej liczbie Mendelejew, Pawłow, Połotebnow, Botkin, Pomjałowski i Łukjanow; blisko 30 artystów-malarzy, jak Kuindzi, Lagorio, Suchorowski i inni, wreszcie większość członków Rady Państwa i senatorów. Na prezydenta miasta oczekują wyboru p. Kowalewskiego, byłego towarzysza ministra skarbu. Na kandydaturę jego zgadzają się mniej więcej wszystkie stronnictwa. Obecny prezydent Petersburga, Leljanow, zamierza się usunąć z widowni życia społecznego i poświęcić się znów handlowi futrami. C.

Grajewo. W № 33 i 37 „Ogniwa“ zamieszczone były korespondencje o naszym mieście i stosunkach duchowieństwa do parafjan. Jako stały mieszkaniec Grajewa, pozwalam sobie podać parę faktów, które rzucą nieco światła na te stosunki. Przed dwoma laty chrzczono dziecko jednego z miejscowych obywateli. Ojcem chrzestnym miał być p. S., urzędnik, który żyje skromnie, nie wydaje wieczorków połączonych z pijaństwem i karciarstwem, a co gorsza, jako człowiek myślący i zdrowo zapatrujący się na rzeczy, pozwala sobie otwarcie krytykować niewłaściwe i niezgodne ze stanem duchownym postępowanie księży. Dla tego jest okrzykany przez nich i przez oddane im kumoszki jako człowiek „bez religii“.

W sferach duchownych uznano, że podobna osoba nie może być ojcem chrzestnym dziecka pochodzącego z pobożnej rodziny i postanowiono przykładnie upokorzyć i ukarać „niedowiarkę“. Kiedy przyniesiono dziecko do kościoła, mający je chrzcić ksiądz wikary, wobec zgromadzonych ludzi, oświadczył, że p. S. nie może być ojcem chrzestnym. Nie wiem, czy w danym razie działał na swą rękę, czy też z natchnienia swego najbliższego zwierzchnika; ponieważ zaś wiedział dobrze kilka dni przedtem od rodziców dziecięcia, kto ma być ojcem chrzestnym i nie nie mówił, widoczną zatem była z jego strony chęć skompromitowania p. S. publicznie. Pan S. oddał się, nie nie mówiąc. Ponieważ zaś nie należy do liczby tych, co wyroki księży uważają za nieomyślne, napisał o tym do biskupa, zdając sprawę na sąd jego. Biskup zganił postępek księdza, przenosząc go jednocześnie na wikarego do innej parafii na wieś. Zdaje się, że sprawa powinna się na tym skończyć; tak przynajmniej sądziłby każdy zdrowo myślący. Znaleźli się jednak tacy, według których wikariusz miał prawo postępować w podobny sposób, a zatem był na swoim miejscu i niesłusznie został ukarany. Posłano do biskupa prośbę o pozostawienie go w Grajewie, a gdy to nie pomogło, urządzono mu pożegnalny obiad, na którym spełniano toasty i wygłaszano mowy, wysławiając go jako rycerza wojującego, który padł ofiarą gorliwego pełnienia swoich obowiązków, i wyrażając tym samym protest przeciw rozporządzeniu biskupa. Czym mianowicie ów wikariusz mógł zasłużyć na owacje, jakie mu wyprawiono — nie wiem i jestem pewny, że żaden z jego adoratorów nie potrafiłby na to dać należytej odpowiedzi. Był to bowiem młodzieniec nie wyróżniający się od wielu innych ani wykształceniem, ani wogóle przymiotami, które powinny zdobić kapłana, w ciągu niespełna dwu lat pełnił obowiązki wikarego i oprócz opisanego wybryku niczym więcej się nie odznaczył. O ile zapamiętam, w podobny sposób nie żegnano żadnego z wyjeżdżających od nas duchownych, chociaż między nimi byli ludzie godni szacunku, którzy zasłużyli się parafji, jak na przykład ksiądz dziekan Wyżykowski (†jako proboszcz w Rajgrodzie), który w ciągu przeszło dziesięcioletniego pobytu w Grajewie, w miejsce zniszczonego przez pożar drewnianego kościołka, wybudował nowy murowany, a następnie dom dla księży, nie posiadając na to żadnych funduszy oprócz dobrowolnie składanych ofiar, oraz osobistych dochodów, które obracał na budowę, żyjąc bardzo skromnie. Przytym chociaż posiadał wyższe wykształcenie, nie wywyższał się nad innych, nie odgradzał się od zwykłych śmiertelników chłimskim murem, komunikując się z nimi nie za pośrednictwem organisty, lecz był jednakowo dostępny dla wszystkich, radą i czynem chętnie dopomagając każdemu, co się do niego zwracał. A jednak, kiedy wyjeżdżał, nie postarano się w jakibądź sposób wyrazić mu publicznie wdzięczności za jego pracę i starania, bo w oczach pół-

główek niedorzeczne wybryki uchodzą za czyny bohaterskie, zasługujące na większe uznanie, niż długoletnia cicha i uczciwa praca. Pozwolę sobie opisać jeszcze jeden wypadek, jaki się zdarzył przed kilku tygodniami. Pewien wędrowny żebrak, szukając noclegu, zaszedł do znajdującego się przy kościele tak zwanego „szpitala“, jako schroniska starców i kalek. Nie przyjęto go jednak, bo szpital zamieszkuje służba i dewotki czyli terejarki, które również do niej zaliczyć należy. Udał się na plebanję, lecz okazało się, że wygłaszane z ambony zasady „głodnego nakarmić“ i „po dróżnego w dom przyjąć“ na praktyce i tam nie mają zastosowania, udało mu się tylko znaleźć przytułek w stodole. Dziad, którego w drodze obdarzono kawalkiem słoniny, chciał ją uskarżyć, rozniecił w stodole ogień, od którego zajęła się słoma i spaliła stodoła. Nie wiem, kto w tej sprawie ma być głównym winowajcą? Parafjanie jednak, którzy najmniej są winni, zostali najwięcej poszkodowani, bo będą musieli wybudować nową stodołę.

Grajewianin.

— **Kraków.** Niedawno otwarto Dom Akademicki przy ul. Jabłonowskich w pobliżu Collegium Novum. Gmach dwupiętrowy o 18 oknach frontu z oficyną boczną znacznie mniejszych rozmiarów. W suterynach mieści się olbrzymia knecnia wykładana kaflami, łazienki, składy, spiżarnie, przyrządy do ogrzewania całego gmachu, mieszkania dla służby, wreszcie wielka jadalnia, obliczona na paruset akademików. Wszystko urządzone według ostatnich wymagań higieny. Na parterze znajdują się: sala czytelniana, służąca jednocześnie do zebrań akademickich, biblioteczna i bilardowa, wszystkie oświetlone według systemu Auera. Tutaj znajdują się i pokoje dla studentów, które zajmują całe pierwsze i drugie piętro gmachu. Obliczone na jednego lub dwu lokatorów, są dość obszerne i mają dużo światła; umeblowanie składa się z łóżka o materacu sprężynowym, poduszki, koldry, umywalni, stolika, szafki, stołków i pulki na książki. Opłata wraz z opałem i obsługą, lecz bez oświetlenia, wynosi 11 koron miesięcznie. Gmach zmieści 120 studentów. W kuchni akademickiej za nader przystępną cenę studenci mogą otrzymać śniadanie, obiad i wieszczkę. Herbata kosztuje 6 gr., kawa z mlekiem 16 gr., szklanka mleka 5 gr.; obiad składający się z rosołu i sztuki mięsa z jarzyną i chlebem, 30 gr., z pieczeni—50 gr., legumina 18 gr. Wieszczka mięsna 30—50 groszy. Nie zapomniano wreszcie i o rozrywkach i na dziedzińcu Domu Akademickiego rozpoczęto budowę kręgielni, a w przyszłości może staną i inne budynki dla zabaw, rozwój fizyczny na celu mających.

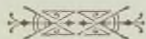
C.

Kronika Polityczna.

Temperatura na Węgrzech spadała: zamiast stanu gorączkowego—normalny, wprawdzie podlegały wahaniom, ale bardzo nieznaczny. Inna rzecz, co będzie gdy rozpoczną się obrady sejmowe i krąćcowa opozycja nacjonalistyczna głos zabierze. W każdym razie dzisiaj spokój zapanował, hr. Apponyi, który wicherzył w obozie liberalnym, przegrał sprawę, nawet rzeka się obowiązków prezesa sejmku, co zapewniało mu znaczne wpływy. Nawet Kossuth gotów jest kapitulować pod pewnymi warunkami, jedynie Ugron ze swoją grupą odgraża się, iż nie zaprzestanie obstrukcji. Obóz liberalny zjednoczył się dookoła Tiszy, który na dobre ujął ster rządów, powitany kocią muzyką ze strony młodzieży uniwersyteckiej. Komisja dziegięciu, będąca wyrazem poglądów obozu liberalnego, przystała na to, że Korona, na podstawie ustawy r. 1868, rozstrzyga o języku służbowym i komendzie węgierskiej części armji. W ten sposób usunięto punkt, który dla ces. Franciszka Józefa był najdrażliwszy. Natomiast bądzie uregulowaną sprawą godel wspólnej armji, które dzisiaj nie odpowiadają równouprawnieniu obu pólów monarchji; sejmowi będzie przedstawioną nowa procedura karna wojskowa, oparta na rozprawie ustnej a jawnej; o ulgach, udzielanych szeregowcom, ma w pierwszej instancji rozstrzygać minister Honwedów; wojsko węgierskie będzie miało oficerów—Węgrów; władze wojskowe na Węgrzech korespondują z innemi władzami w tym kraju w języku ojczystym.—Na gabinet francuski spadł grom nieoczekiwany—zaburzenia w Paryżu, które pozostawiły rozłam w większości sejmowej, na jakiej rząd się opierał, bo przeciwstawiły gabinetowi skrajne odłamy izby, z drugiej strony sprawiły ten sam skutek wśród opozycji, gdyż umiarkowani republikanie pospieszili głosować za rządem. Od niejakiego czasu wśród pewnych odłamów warstwy pracującej w Paryżu wzrastało niezadowolenie przeciw biurkom pośredniczenia w pracy, które dopuszczały się strasznego wyzysku. Zwołano więc w gmachu Gieldy pracy, na którym zebrało się cztery tysiące robotników cukierniczych, piekarskich i rzeźniczych. Prefekt policji, obawiając się iż tłum, wyszedłszy na ulicę, wywoła zamieszki, ściągnął policję. Było to 29 października. Doszło do starcia, policja wtargnęła do Gieldy pracy, wiele osób raniono. Dokonano licznych aresztowań. Dzień był gorący—od lat 10, t. j. od dnia, w którym Dupuy kiedyś kazał zamknąć Gieldę pracy, nie pamiętają w Paryżu ani takiej ruchawki ani roznamiętnienia. Na drugi dzień posypały się interpelacje w izbie, a przebieg ich był niespodziewanie spokojny. Wystąpili z niemi nietylko przedstawiciele warstwy pracującej, ale także nacjonalisci i antysemita. Combes zręcznym obrotem załagodził sprawę: bronił rozpo-

ządzeń prefekta policji Lépinea, o ile dotyczyły utrzymania spokoju na ulicach, ale przyznał, iż policja nie miała prawa wtargnąć do wnętrza gmachu, wreszcie przyrzekł przeprowadzić śledztwo. Izba 375 głosami przeciw 211 uchwaliła porządek dzienny—meliński głosowali za rządem. Rezultaty śledztwa podobno okazały się niekorzystnymi dla policji. Sprawa biur pośredniczenia w pracy znajdzie się niebawem pod obradami sejmku, co jest tym konieczniejsze, iż zajęcia w d. 29 października odbyły się silnym echem i wywołały silną agitację przeciw kantorom stręczenia służby wraz z projektami gieneralnego strejku. Pomimo iż Combes wyszedł zwycięzko z interpelacji, nie jest jednak zadowolony: uratowali go meliński, wówczas gdy sprzymierzeńcy dotychczasowi—krąćcowy odłam lewicy—go opuścili. Odgraża się, iż załatwiwszy sprawę budżetu, złoży piastowane obowiązki. Podobno uraziło go również zmniejszenie kredytu na utrzymanie podprefektur. Zaznaczamy te pogłoski, nie nadając im większej wagi.—I z Hiszpanji ostatni tydzień przyniósł pogłoski o nowych zamieszkach—t. j. jedyne nowiny, które kraj ten może przypomnieć Europie o swoim istnieniu. Ogniskiem ich było miasto Bilbao, to samo, w którym przed kilku tygodniami odbyły się manifestacje przeciw klasztorom. I rozruchy obecne nosiły częściowo ten sam charakter: spalono parę klasztorów, a nadto zniszczono koleje, ażeby powstrzymać nadejście siły zbrojnej. Podobny los spotkał sieć drutów telegraficznych. Wypadki bilbaoskie znalazły oddźwięk w Madrycie, Barcelonie, San-Sabastjanie i paru innych ogniskach przemysłu. W izbie deputowanych doszło do utarczki, opozycja domagała się wysłania komisji specjalnej parlamentarnej dla przywrócenia porządku w Bilbao, jednak prezes ministrów Villaverde oświadczył, iż rząd nie może pozwolić na to, oraz zaznaczył, iż zda w swoim czasie sprawę z wypadków. Dzisiaj zawiła już spójność, rząd przyrzekł znieść monopol fabrykantów dostarczania robotnikom mieszkań i artykułów żywności—a nadto ma on wnieść do Kortezów projekt ustawy o sądach rozjemczych pomiędzy kapitałem a pracą.—W Turcji zapanowała cisza—na placu boju a wraz z zniknięciem partyzantów Wysoka Porta podniosła głowę i odmówiła przyjęcia planu reform, wypracowanego przez mocarstwa obiecując iż przedstawi własny projekt. Ufa, że jeśli uda jej się odwlec sprawę, to może pomiędzy mocarstwami wynikną niesnaski, tymbardziej iż podobno Niemcy oświadczyły, że nie myślą się zgola mieszać do spraw tureckich. W Bułgarji panuje z tego powodu nastrój pesymistyczny, a jeden z jej agentów dyplomatycznych zdążył już oświadczyć, że Macedończykom pozostaje jedno—czekać wiosny i rozpocząć na nowo ruchawkę. Zresztą na razie wybory do sejmku pochłonięły tam całą uwagę. Rząd zwyciężył, bo na 189 mandatów przeprowadził 148 swoich posłów. Wybory odbyły się spokojnie, ale nadużyć nie zabrakło. Opozycja została zupełnie rozbita. W polratymczaj.

Serbji rozpoczęły się znów knowania oficerów i, co za tym idzie, areszty. — Ster rządów we Włoszech objął Giolitti, w liczbie ministrów znajduje się znany kooperatysta Luzzatti, który piastuje tękę skarbu.



Kronika Społeczna.

— Projekty i rozporządzenia rządowe. Rada Państwa ukończyła pracę nad kodyfikacją ustawy o gospodarstwie rolnym. Całą część instrukcyjną z ustawy obowiązującej usunięto, niektóre jej artykuły uległy zmianom. Wogóle nowa ustawa daje szerokie pole inicjatywie gospodarzy i usuwa formalistykę.

— Do opinii senatu przedstawiono kwestję, czy w 9 guberniach zachodnich sprawy, wytaczane Żydom o tajne nauczanie dzieci religii i języka żydowskiego bez posiadania na to odpowiedniego świadectwa, podlegają rozważeniu w drodze administracyjnej, czy też przekazane być winny instytucjom sądowym.

— Z Tyflisu. 27 z. m. o g. 4 pp. na powracającego w powozie ze spaceru Głównego naczelnika kraju, ks. Golicyna, rzuciło się trzech złoczyńców, z których jeden zadał księciu ciosy sztyltem, dwaj inni zaś usiłowali wyciągnąć go z powozu. Rany zadane księciu nie są niebezpieczne. Złoczyńcy, broniąc się przed pościgiem straży i kozaków, polegli. Jak się okazało, należeli do niższych klas ludności ormiańskiej.

— Z Tomaszowa. W Tomaszowie Rawskim staraniem grona obywateli ma stanąć gmach, w którym mieścić się będzie teatr, sala balowa i resursa. Koszt obliczono na 50,000 rb.

— Z Łodzi. „Rozwój“ łódzki donosi, że Żydzi, tak zw. „litwacy“, by oddzielić się w Łodzi od miejscowych Żydów, zbudowali dla siebie osobną bóżnicę przy ul. Wólczańskiej.

— Z Sosnowca. Na mocy umowy, zawartej z magistratem m. Sosnowca, francuskie Tow. akc. „Leblanc“ podjęło się urządzić w tym mieście kanalizację, wodociągi, oświetlenie elektryczne, rzeźnię, wzniesić dwa gmachy dla szkół początkowych, gmachy magistratu, władz sądowych, aresztu, szpitala, trzech hall targowych, urządzić park, bruki. Kosztorys obliczony na 3,580,000 rb.

— Katastrofy. Na stacji Żmerynka, kolei połud.-zachod., 26 z. m. w pociągu towarowo-pasażerskim, podążającym z Odesy do Kijowa, w wagonie 4 klasy nastąpił wybuch, wskutek którego 57 osób poniosło ciężkie obrażenia i śmierć. Większość poszkodowanych stanowią rekruci, przeważnie Żydzi. Przypuszczają, że katastrofę spowodowała eksplozja woreczka z prochem bezdymnym, który wiózł jeden z pasażerów.

— Zjazdu i Wystawy. 10 stycznia 1904 r. w Petersburgu ma obradować zjazd ginekologów i akuszerów rosyjskich, który potrwa 3 dni.

— W r. p. ma odbyć się w Warszawie wystawa elektryczności (na dochód Pogotowia ratunkowego).

— Warsz. Tow. Rolnicze podjęło sprawę urzędu w Warszawie okręgowej wystawy rolniczej. Szczegółowe opracowanie projektu i programu polecono zarządowi T-wa. Otwarcie wystawy ma nastąpić w 1905 r.

— Pierwsza międzynarodowa artystyczno-przemysłowa wystawa wyrobów z kruszców i kamieni otwartą zostanie w początkach grudnia w Petersburgu. Cel wystawy napół przemysłowy, napół filantropijny. Departament kolejowy przyznał wystawcom taryfę ulgową. Wystawcy mają prawo towary swoje sprzedawać i przyjmować obstalunki. Pragnącym z Królestwa uczestniczyć w wystawie udziela informacji warszawski oddział Tow. pop. przem. i handlu.

— We Lwowie 1 b. m. rozpoczął obrady zjazd pedagogiczny.

— Z Prasy. W Gliwicach na Śląsku ma wkrótce wychodzić dwutygodnik obrazkowy, przeznaczony dla kobiet.

— Osobiste. Dr. fil. W. M. Kozłowski wykładać będzie w r. b. na uniwersytecie gienewskim „Zasady filozoficzne przyrodoznawstwa“ i o „Szkolach i doktrynach filozofii społecznej“.

— Sądy. 26 listopada I dep. warszawskiej izby sądowej będzie rozpoznawał głośną w swoim czasie sprawę b. profesora uniwersytetu warszawskiego, Michała Zieńca, obwinionego z mocy art. 9, 1,525 i 1,526 kod. karn. Sąd okręgowy, rozpoznawszy tę sprawę w charakterze I instancji, skazał podsądnego na 1½ roku rot aresztanckich, pozbawienie wszystkich szczególnych praw stanu i 4 lata dozoru policyjnego. Na skutek apelacji podsądnego i obrońcy poszkodowanej Koźlińskiej, adw. przys. Kijeńskiego, sprawa przeszła pod rozpoznanie izby sądowej, która wydała wyrok uniewinniający. Ten ostatni wyrok został uchylony przez senat na skutek skargi kasacyjnej wniesionej w inieniu powódki przez adw. przys. Kijeńskiego. Wobec jednak braku protestu ze strony urzędu prokuratorskiego, wyrok izby sądowej co do odpowiedzialności kryminalnej uprawomocnił się, izba więc rozpoznawać będzie sprawę jedynie co do odpowiedzialności jego cywilnej.

— Szkolnictwo. Uniwersytet w Moskwie liczy w r. b. 4,800 studentów, t. j. o 400 więcej w porównaniu z rokiem zeszłym.

— Zgromadzenie ziemskie w Mińsku postanowiło otworzyć 9 szkół ludowych ziemskich i dwie rzemieślnicze.

— W żydowskiej szkole rolniczej w Czestoniewie pod Grójcem rozpoczął się nowy rok szkolny. Szkołę tę założono przy współudziale znanego towarzysza „Ica“. Z pomiędzy kandydatów przyjęto 28-u.

— Z ruchu spółdzielczego. Istniejąca w Warszawie spółka mleczarska,

otrzymała pozwolenie na rozszerzenie swej działalności na Królestwo Polskie.

— Filantropja. Miljoner Mazurow w Moskwie zapisał Towarzystwu kupieckiemu 4 miliony rubli na cele dobroczynne.

— Sjonizm. „Odes. Nowosti“ donoszą, iż na ostatniej audjencji w Ildiz-kiosku jeden z posłów oświadczył sułtanowi, iż jego rząd nie miałby nic przeciwko temu, aby Żydom odstąpiono całą zajordańską część Palestyny i okolice tamtej strony rzeki, których nie odwiedzają chrześcijanie.

— Przeciwno protekcjonizmowi. „Wiernik znania“ pisze: „Nasze taryfy celne są tak strasznie wysokie, że przedewszystkiem należałoby o ich niższeniu myśleć. Oto np. w r. 1901 pud kawy „Santos“ kosztował średnio w Petersburgu 12 rb. 76 kop., a w Londynie 4 rb. 90 kop. (cło rosyjskie wynosi 5 rb. 85 kop. od puda); kakao w Odesie kosztowało 20 rb. 90 kop., w Londynie 10 rb. 67 kop. (cło 6 rb. 75 kop.); czarna herbata w sprzedaży hurtowej w Petersburgu 57 rb. 60 kop., w Londynie 26 rb. 60 kop. (cło 31 rb. 50 kop.); ryż „Rangoon“ w Petersburgu 2 rb. 82 kop., w Londynie 1 rb. 1 kop. (cło: 1 rb. 1 kop.).

— Ze statystyki. Z pośród trzech gubernji, wchodzących w obręb kraju południowo-zachodniego, gub. wołyńską można nazwać gubernją wielkiej własności ziemskiej. Z ogólnej liczby 3,166,669 dziesięcin ziemi, będących w posiadaniu prywatnym, 1,059,242 dziesięcin, czyli 1/3, należy do 100 większych właścicieli, z nich 15-tu posiada 486,687 dzies. Największe obszary rolne posiadają: Alfred hr. Potocki 72,208 dzies., Uwarow 67,633, ks. Sanguszek 50,469, Małyński 44,275, księżna Urusow 35,169, hr. Kankryn 30,825, hr. Broel-Plater 29,058, Mezencow 25,800, hr. Tyszkiewicz 25,000, Zielińska 23,527, Pyszenskow 21,305 i t. d. Wszystkich posiadaczy rolnych było w gub. wołyńskiej 12,947; 9,687 prawosławnych, 1,795 katolików, 1,574 ewangelików i 112 żydów. Posiadali ziemię prawosławni 1,448,755 dzies., katolicy 1,510,011, ewangelicy 191,550 i żydzi 16,485.

— Obecnie w państwie Rosyjskim w 60 guberniach na 87.7 milj. mieszk. znajduje się 4,117 osób, starszych nad 100 lat. Według wyznania stosunek ten się przedstawia: prawosławnych starców stułetnich wypada 44 na miljon; rzymsko-katolików na 9.4 mil.—791, czyli 84 na miljon; mahometan 60 na miljon; Żydów 14 na miljon i innych wyznań 13 na miljon. Z tych długowiecznych 77% przeżyło swój czas na wsi, w miastach 23%; przypada zaś 3.7 kawalerów i 5.3 panien, 31.3% żonatych i 2.4 zamężnych. Wdowców znajduje się 72.1, wdów 90.4%.

— Liczba mieszkańców Londynu, według tylko co otrzymanego rocznika „London County Council“ wynosi 4,536,451, zaś ze wszystkimi okolicznymi gminami w promieniu 15-milowym (ang.) — 6,581,402. W stolicy angielskiej przebywa obecnie przeszło 135,000 cudzoziemców, lub też o-

sób, urodzonych w Londynie z rodziców cudzoziemców.

— Z Białowieży. Według danych za r. 1902, w puszczy białowiejskiej było: 750 żubrów, 450 łosi, 2,500 jeleni, 700 saren, 5,000 dzikich kóz i 1890 dzikich.

— Spożycie wódki. Według sprawozdań zarządów akcyzy średnio spożycie wódki na jednego mieszkańca Królestwa Polskiego w r. 1901 wynosiło 0.38 wiadra, gdy w r. 1900-ym 0.42. Spożycie wódki, zdaniem zarządów akcyzy, zmniejsza się stale, a w r. 1901 głównie z powodu przesilenia ekonomicznego i nieurodzaju. Tylko w gub. siedleckiej zwiększa się konsumpcja wódki w zimie, w gub. Łomżyńskiej utrzymuje się w dawnej mierze.

— Sklepy monopolowo w Królestwie. W r. 1902 w Królestwie Polskim było 1344 sklepów monopolowych, w tej liczbie 965 po wsiach i 379 w miastach.

— Z Galicji. Według spisu ludności w 1900 r. w Galicji mieszka Niemców około 60,000. Z tych 48,000 jest wyznania ewangelickiego, 12,000 katolickiego.

O F I A R Y.

Na powodzian: Antoni Michalski rb. 6; Zielińska rb. 1 (jako kara za sfalszowanie mleka).

KSIĄŻKI NADESLANE DO REDAKCJI.

Orwicz Jerzy. „Ela“. Powieść społeczna s. 220. Warszawa, 1903. Dubowski. c. 1 rb. 20 kop.

Prace matematyczno-fizyczne, wydawane przez S. Dicksteina, W. Gosiewskiego, W. Natansona, A. Witkowskiego i K. Żórawskiego. Tom XIV. Warszawa, 1903.

Radliński Ignacy. „Prorocy hebrajscy wobec krytyki i dziejów“ s. 209. Warszawa, 1904. T. Paprocki i Sp.

Rózycki Zygmunt. „Najmłodsza Polska w pieśni“ (Antologia) s. 156. Warszawa, 1903. Dubowski. c. 1 rb. 20 k.

Sieroszewski W. „Sibirische Erzählungen“ (Internationale Novellenbibliothek) s. 243. Verlag J. Marchlewski u Co. München 1903.

Silberstein Ludwik dr. „Teoria operatorów fizycznych“ (Związek zjawisk w czasie) s. 51. Warszawa, 1903. Odbitka z „Przegl. Filozoficznego“.

Sorel Albert. „Sprawa wschodnia w XVIII wieku. Pierwszy podział Polski i

traktat Kainardżyjski“, przełożyli słuchacze uniwersytetu lwowskiego z przedmową Szymona Askenazego. Wydanie nowe, s. 362+II, 1903. H. Altenberg, Lwów.

Strzelecki Adolf. „Z życia Chopina“. Szkic z profilu. s. 291. Warszawa, 1903. J. Fiszer.

Tysski Zyg. Aug. „Poezje“ I s. 211. Warszawa, 1903. J. Fiszer.

Vera. „Jedna dla wielu“. Z pamiętnika młodej dziewczyny tł. S. Maybaumowa. s. 72. Łódź, 1903. Rychliński i Wegner.

Warburg Emil, dr. „Zasady fizyki“ z VI wyd. niem. przełożył St. Boufał z 405 rys. s. 514. Warszawa, 1903. Nakł. grona miłośników fizyki.

Wiśniowski Józef. „Poezje“ II. s. 146. Lwów, 1903. Tow. wydawnicze.

Z pamiętników gen. Dezyd. Chłapowskiego: „Szlakiem legionów. II. 1830—1831“. s. 129. Warszawa, 1903. Gebethner i Wolff.

Żuławski Jerzy. „Na srebrnym globie“. s. 349. Lwów, 1903. Tow. wydawnicze.

OGŁOSZENIA.

OPUŚCIŁ PRASĘ „PODRĘCZNY ATLAS GEOGRAFICZNY“, zawierający 19 map.

(3—3)

W oprawie kartonowej rb. 1, zbroszurowany 80 kop.

Do nabycia w księgarni nakładowej Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów, Zgoda № 7 i we wszystkich księgarniach.

„WIELKIEJ ENCYKLOPEDJI POWSZECHNEJ ILUSTROWANEJ“

Serji I-ej

Tom XXXIV (broszurowany) od wyrazu Kameny — do Karyszew Mikołaj wyszedł z druku

===== Cena Rb. 4. =====

Tom XXXIII/XXXIV (w oprawie) od wyrazu Joerg do Karyszew Mikołaj

===== Cena Rb. 9. 50 =====

Do nabycia w kantorze Administracji, Nowy-Świat 47.

PRZEDPŁATA „OGNIWA“

(wraz z dodatkiem) wynosi kwartalnie: w Warszawie 1 rub. 75 kop., z przesyłką pocztową w Królestwie i Cesarstwie 2 rub., zagranicą 2 rub. 50 kop. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop. Cena numeru 20 kop. Ogłoszenia po 10 kop. za wiersz lub jego miejsce.

Ajentura na Łódź: Księgarnia M. Ettingera, Piotrkowska, 50.—Na Kraków: Biuro czasopism „Hopcas i Salomonowa“, Plac Marjacki, 2.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

Żórawia, 17. Administracja otwarta codziennie (oprócz dni świątecznych) od godziny 10 — 1 i od 3—5. W sprawach redakcyjnych porozumiewać się można między 5 i 6 po p.

Wydawca L. Niemyski.

Za Redaktora L. Niemyski.

Дозволено Цензурою. Варшава. 23 Октября 1903 года.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.

POMOCE NAUKOWE.

WYPOŻYCZALNIA

okazów przyrodniczych

Chmielna, 8, parter.

Okazy mineralogiczne, botaniczne, zoologiczne, przyrządy fizyczne, środki pomocnicze do nauki o rzeczach.

Otwarta codziennie od 4ej do 7ej oprócz niedziel i świąt. Abonament roczny lub miesięczny.